Dziedzictwo pamięci

Niektóre historie rodzą się w chwili, gdy ktoś puka do drzwi w środku nocy.



Isabella Skrypczak, tumaczka syberyjskich wspomnień swojej babci

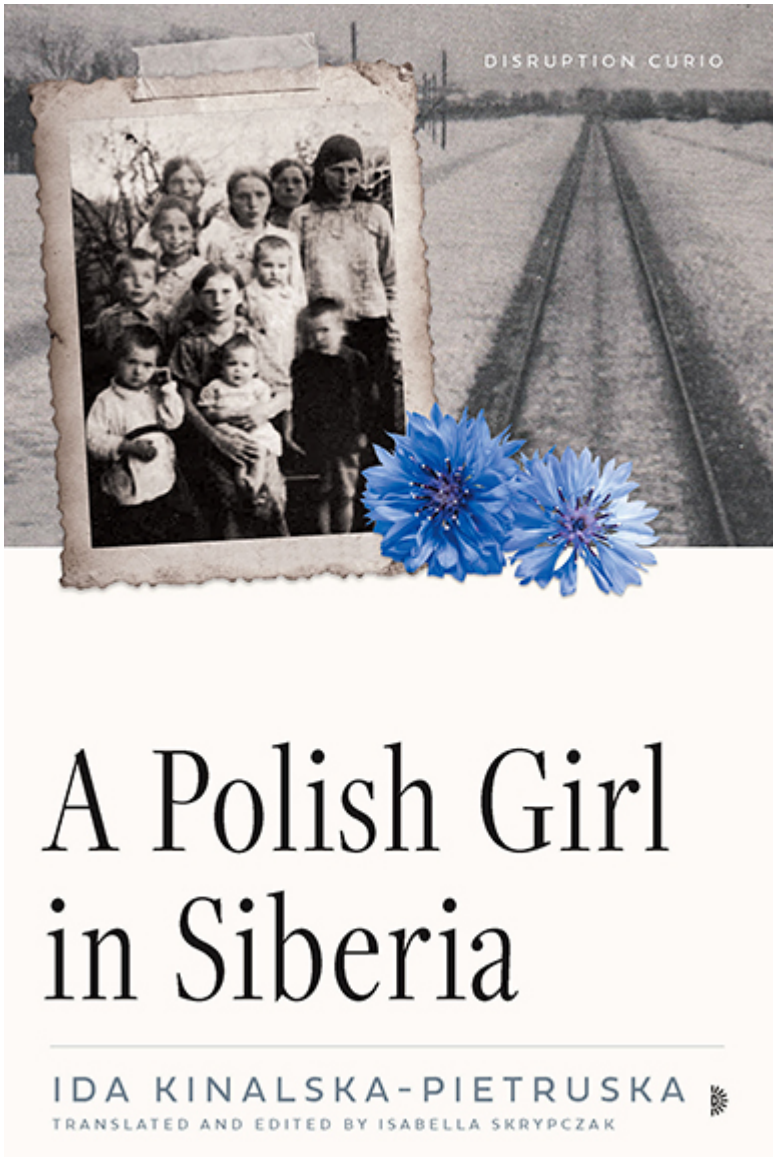
Z Isabellą Skrypczak – tłumaczką książki swojej babci Idy Kinalskiej-Pietruskiej „A Polish Girl in Siberia” – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Historia XX wieku zapisała się w pamięci Europy wieloma

tragediami. Nie wszystkie jednak są równie obecne w świadomości świata. W cieniu opowieści o II wojnie światowej pozostaje dramat setek tysięcy Polaków deportowanych przez władze sowieckie na Syberię i do Kazachstanu.

Jedną z nich była Ida Kinalska-Pietruska. Miała zaledwie sześć lat, gdy w 1940 roku sowieccy żołnierze wyważyli drzwi jej domu i wraz z matką wysłali ją w podróż w nieznane — w bydlęcych wagonach, w głąb imperium Stalina. Jej wspomnienia z tamtych lat — zapisane z perspektywy dziecka — stały się przejmującym świadectwem czasu.

Po latach historia ta otrzymała nowe życie dzięki wnuczce autorki, Isabelli Skrypczak, która przetłumaczyła te wspomnienia na język angielski i opatrzyła je własnym komentarzem. Dzięki temu opowieść o deportacji, przetrwaniu i niezwykłej sile człowieka trafia dziś do nowych czytelników.



---

*

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Urodziła się Pani i wychowała w Houston, ale świetnie mówi Pani po polsku. Jaką Polskę poznała Pani podczas wakacyjnych wyjazdów do babci?

Isabella Skrypczak: Wychowałam się w domu, w którym

mówiło się wyłącznie po polsku, dlatego język polski jest moim pierwszym językiem. Rodzice wysyłali mnie do polskiej szkoły w Houston, więc polskość zawsze była częścią mojej tożsamości. Lata spędzone z rodziną w Polsce również mnie ukształtowały.

Poznałam Polskę lat 80. Pamiętam biedę, szarość, brak podstawowych rzeczy i betonowe bloki. Odczuwałam wtedy smutek, jakby brakowało mi części własnej duszy. Potem przyszły lata 90., kiedy Polska zaczęła transformację — znów niepodległa, otwarta, jakby nareszcie mogła oddychać. Pamiętam jednak, że ta przemiana nie była łatwa i wymagała czasu. Po ulicach jeździły „maluchy" (Fiat 126p), polonezy, a także pojawiały się pojazdy konne, tzw. furmanki. Pamiętam domy na wsiach kryte strzechą, czyli dachami ze słomy. Większość ludzi mieszkała w blokach, a na weekend wyjeżdżała na swoje małe działki poza miastem.



Iza, jako krakowianka, fot. arch. autorki

Sklepów było niewiele, a towarów na półkach brakowało. Babcia leczyła biednych ludzi na wsi, a w zamian otrzymywała jajka, kiełbasę, śmietanę czy mleko. Nie było Internetu, tylko dwa kanały w telewizji, więc wraz z innymi dziećmi spędzaliśmy większość czasu na dworze, często boso. Jakie cuda wtedy wyprawialiśmy… To są moje najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa.

Pamiętam też lata 2000., kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej i NATO i bardzo się rozwinęła. Powstały nowe domy i sklepy, na ulicach pojawiły się różne marki samochodów. Przyjeżdżając do kraju, odczuwałam ulgę, że świat wreszcie docenił Polskę i Polaków. Pracowałam wtedy jako stażystka w

kancelarii prawniczej, wolontariuszka w organizacjach charytatywnych oraz studentka na wymianie w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

W Polsce zawsze czułam się bardziej akceptowana niż w USA — jakbym należała do tego samego plemienia. Oczywiście, czasem nazywano mnie „Amerykanką”, pytano, czy w Teksasie jeżdżę do szkoły konno albo śmiano się z mojej polskiej gramatyki. Jednak w porównaniu z doświadczeniem w Stanach byłam tu bardziej u siebie. W USA, mimo że się tam urodziłam, często czułam się obca.

Dziś Polska, którą widzę, jest kolorowa, stabilna, zamożna i pełna środowisk, które dążą do gojenia ran i traum poprzednich pokoleń. Cieszę się, że i ja mogę w tym uczestniczyć.



Cztery pokolenia kobiet w 1988 roku – 52 lata po zakończeniu wojny. Od
lewej: Leokadia Sidorowicz, Ida Teresa Kinalska (babcia autorki), Małgorzata Kinalska (mama autorki) i Isabella Skrypczak, fot. arch. autorki
*

Historia Pani babci zaczyna się jak scena z dramatu — noc, żołnierze sowieccy, deportacja na Syberię. Kiedy po raz pierwszy usłyszała Pani tę opowieść i jak wpłynęła ona na Panią?

Pamiętam, że gdy byłam bardzo mała — miałam około dwóch lat — moja babcia opowiadała komuś, jak sowieccy żołnierze w środku nocy, z bronią w ręku, wtargnęli do jej domu. Nie zdawała sobie sprawy, że byłam w pokoju i to słyszałam. Ogarnął mnie wtedy ogromny strach, jakby ta historia dotyczyła bezpośrednio mnie.

Czyli to wczesne doświadczenie tak na Panią wpłynęło, że — jak pisze Pani w przedmowie — jako dziecko w Teksasie odczuwała Pani strach przed „sowieckim żołnierzem", choć wojna dawno się skończyła. Czy to przykład tego, jak trauma przenosi się między pokoleniami?

Po latach terapii, pracy nad sobą oraz zgłębiania wiedzy o

traumie pokoleniowej i epigenetyce — także w pracy z klientami, gdzie dzielę się swoim doświadczeniem — wiem już na pewno, że był to przykład traumy przekazywanej między pokoleniami. Przeprowadzono na ten temat wiele badań i powstało wiele prac naukowych, które to potwierdzają.



Leokadia Sidorowicz i Włodzimierz Soroko – rodzice babci autorki,
gdy zaczęli się ze sobą spotykać, fot. arch. autorki

Czy Pani babcia długo milczała o swoich doświadczeniach z Syberii, czy raczej opowiadała o nich rodzinie?

Babcia rozmawiała o tym z bliskimi — w domu, w pracy, z sąsiadami. Opowiadała także podczas podróży. Mówiła, że

została zesłana z mamą, że nie wiedziała nic o ojcu, wspominała głód i ludzi, którzy jej pomogli. Były to jednak raczej ogólne opowieści — nie wchodziła w szczegóły.

W tych rozmowach wyczuwaliśmy ból, lęk, żal po utraconym dzieciństwie i tęsknotę za ojcem. Dopiero kiedy opisała swoje doświadczenia w książce i szczegóły jej gehenny zostały przelane na papier, zrozumiałam, skąd pochodziły również moje emocje.

Co było impulsem, aby pokazać tę historię amerykańskiemu czytelnikowi?

Na początku przetłumaczyłam opowieść babci dla mojej córki — nie byłam pewna, czy będzie na tyle znała język polski, by móc ją kiedyś przeczytać w oryginale.

Potem wybuchła wojna w Ukrainie. Mam korzenie lwowskie ze strony dziadka, więc poczułam ogromny ból, że znów wojna dotyka moją rodzinną ziemię. Babcia przyjęła wtedy pod swój dach młodą Ukrainkę i jej ośmioletnią córkę Kirę.

Rozmawiałam z nimi wiele razy przez FaceTime. Widziałam, jak Kira była przerażona — oddychała płytko, jej ciało było sztywne, trudno jej było odpowiadać na proste pytania. Było widać, że doświadcza zespołu stresu pourazowego.

Babcia powiedziała jej wtedy:
„Kira, kochana moja, wiem, jak to jest. Rosja też napadła mój kraj, też musiałam mieszkać z obcymi ludźmi, też się bałam. Ale przeżyłam. I ty też przeżyjesz. Znów będziesz w swoim domu. Teraz jesteś bezpieczna”.

Widziałam, jak moja 88-letnia babcia uspokaja dziecko — jakby mówiła do samej siebie sprzed lat.

Wtedy zrozumiałam, że nie mogę pozostać bierna. W Kirze zobaczyłam moją babcię. I moją córkę. Postanowiłam przetłumaczyć i wydać książkę, aby dzieci takie jak Kira mogły żyć w spokoju — i aby żadne dziecko na świecie nie musiało się bać.



Leokadia Sidorowicz (u góry pośrodku) oraz jej córka Ida z przyjaciółmi w 1936 roku, fot. arch. autorki



Włodzimierz Soroko (pierwszy z prawej), w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, najprawdopodobniej w Palestynie w 1942 roku, fot. arch. autorki

*

Jak wyglądał proces przenoszenia tej bardzo osobistej opowieści na język angielski?

Proces był długi i wymagał wielu przerw, aby dobrać

odpowiednie słowa. Język polski pozwala wyrazić niezwykle subtelne stany emocjonalne. Kiedy przetłumaczyłam tekst babci na język angielski, zorientowałam się, że brakuje w nim tego, co zawarła babcia — uczuć i obrazów działających na wyobraźnię czytelnika, pozwalających mu utożsamić się z bohaterką.

Musiałam więc przekonstruować całość i w wielu miejscach dodać opisy, aby właściwie oddać sens i emocje oryginału.

Kiedy przetłumaczyłam część opowieści kończącą się na wyjeździe z Syberii, zdałam sobie sprawę, że to przecież nie jest koniec tej historii. Rozmawiałam więc z babcią przez wiele godzin, przeprowadziłam dziesiątki wywiadów, aby uzupełnić jej opowieść. Jej dwuletnie doświadczenia w Charkowie były niezwykle trudne. Również wyjazd z Ukrainy do Polski nie należał do łatwych.

Rozmawiałam także z moją mamą, która przesyłała mi artykuły o moim pradziadku oraz dokumenty dotyczące osiągnięć babci w jej karierze medycznej. Wszystkie te materiały dokładnie przeanalizowałam i włączyłam do książki.



Grupa uczniów na stepie. Ida jest u góry po lewej, uśmiechnięta, fot. arch. autorki

Następnie wysłałam całość mojemu ojcu. Powiedział: „Iza, to jest świetne. Ale świat anglojęzyczny nie będzie rozumiał ani sowieckich terminów, ani naszej historii — trzeba dodać więcej kontekstu”. Uznałam, że ma rację. Sięgnęłam więc do książek historycznych, takich jak *Gułag* i *Borderlands of Eastern Europe* Anne Applebaum czy *Europe: Between East and West* Normana Daviesa.

Po tej lekturze uzupełniłam książkę o szerszy kontekst historyczny. Zajęło to dużo czasu, ponieważ zależało mi na rzetelności. Całość została następnie sprawdzona przez moją matkę chrzestną, która współpracowała z ONZ i jest znakomitą historyczką, a także przez zespół „fact-checkerów" w moim wydawnictwie.

W książce pojawia się refleksja, że w amerykańskiej edukacji dużo mówi się o II wojnie światowej, ale niewiele o deportacjach Polaków do Związku Sowieckiego. Dlaczego Pani zdaniem ta część historii wciąż jest tak mało znana?

Związek Sowiecki należał do aliantów. Stany Zjednoczone wraz ze Stalinem wygrały wojnę. Po jej zakończeniu Ameryka zaangażowała się w procesy norymberskie, a ponieważ rozpoczęła się już zimna wojna, włączenie Stalina do tych procesów mogłoby jeszcze bardziej zaostrzyć napięcia.

W rezultacie nasza historia stała się w pewnym sensie „niewygodna" i przez lata pozostawała na marginesie, aby nie prowokować dodatkowych konfliktów politycznych i nie drażnić Stalina.

Czy podczas tłumaczenia były momenty szczególnie trudne emocjonalnie — kiedy historia przestawała być historią, a stawała się osobistym doświadczeniem?

Oczywiście — było wiele takich momentów. Najtrudniejsze były dla mnie fragmenty dotyczące rozdzielenia babci z ojcem, głodu, samotności oraz niemożności powrotu do domu.

To tak, jakby ktoś wymazał setki lat historii rodzinnej — jakby ona nigdy nie istniała. Najbardziej poruszyła mnie dehumanizacja człowieka.



Pierwsze zdjęcie szkolne Idy po powrocie do Polski z Syberii, w wieku czternastu lat, fot. arch. autorki

Historia Pani babci to nie tylko opowieść o cierpieniu, ale także o niezwykłej sile przetrwania. Czy widzi Pani szczególne cechy, za które Pani podziwia babcię?

Babcia ma niezwykłą intuicję. Z łatwością nawiązuje relacje z ludźmi i przyciąga ich do siebie. Ma też ogromną wewnętrzną siłę, którą emanuje.

Po powrocie z Syberii Pani babcia została wybitną lekarką i naukowcem — diabetologiem i endokrynologiem, laureatką m.in. dwóch doktoratów honoris causa. Czy uważa Pani, że doświadczenia z dzieciństwa wpłynęły na jej późniejszą drogę życiową?

Wierzę, że jej osiągnięcia były związane z tym, co otrzymała od zwykłych ludzi na Syberii — z darem serca. To była energia dobra, którą dostała od innych w czasach strachu i tułaczki. Myślę, że nosiła ją w sobie przez całe życie i przekazywała dalej — swoim pacjentom i ludziom wokół siebie.

Mówi Pani o tłumaczeniu tej książki jako o „akcie miłości". Czy czuje Pani, że ta publikacja zamyka pewien rozdział w historii rodzinnej, czy raczej go otwiera?

Ta książka pozwala mojej rodzinie lepiej zrozumieć samych siebie, nasze relacje i nasz świat. Pomaga zrozumieć nasz ból i się od niego uwolnić — oddzielić własne doświadczenia od traum odziedziczonych. Uczy nas szacunku do historii rodzinnej, ale bez przenoszenia jej ciężaru na kolejne pokolenia.



Isabella Skrypczak z babcią, Idą Kinalską-Pietruską, fot. arch. autorki

Czy ma Pani poczucie, że poprzez tę książkę daje Pani głos nie tylko swojej babci, ale całemu pokoleniu dzieci deportowanych na Syberię?

Zdecydowanie tak. To nie jest tylko historia mojej babci i zesłanych Polaków. Dotyczy również wielu innych narodów — rosyjskiego, ukraińskiego, białoruskiego, żydowskiego czy mieszkańców krajów bałtyckich. Jest nas wielu na świecie.

Jaką uniwersalną i wciąż aktualną naukę można wynieść z tej książki?

Myślę, że siła życia jest najpotężniejszą siłą na świecie. Że ludzki ból jest prawdziwy i warto go zauważać oraz odpowiadać na niego współczuciem. Że liczą się gesty płynące z serca. Że człowiek, pozbawiony etykiet, jest święty.

Jeśli zrozumiemy przeszłość naszej rodziny i uporamy się z traumą pokoleniową, możemy odnaleźć spokój. A może wtedy będziemy w stanie stworzyć świat bez wojen.

---

*

Zapraszamy na spotkanie z autorką w księgarni Book People w Austin:



Muzyka ponad wszystko

Z Andrzejem Zaryckim – kompozytorem muzyki rozrywkowej, symfonicznej, teatralnej, filmowej oraz poezji śpiewanej- rozmawia Maria Duszka.

*



Andrzej Zarycki i Maria Duszka podczas 794 Krakowskiego Salonu Poezji w Teatrze Starym w Krakowie, 2024 r., fot. Piotr Spottek
*

Maria Duszka: Panie Andrzeju, z książki zatytułowanej „Życie wspominam łagodnie. Andrzej Zarycki w rozmowach z Andrzejem Pacułą" dowiedziałam się, że ma pan w sobie geny świętokrzysko – zakopiańsko – węgierskie.

Andrzej Zarycki: Moja babcia ze strony mamy urodziła się we wsi Hołdowiec, mama w Chicago, a tata w Zakopanem. Natomiast mama taty pochodziła podobno gdzieś zza Karpat. Stąd może u mnie te Węgry pod skórą. Ja też urodziłem się w Zakopanem przy ulicy Za Strugiem. Potem przeprowadziliśmy się do centrum i w końcu na Krzeptówki.

Czy niezwykły talent muzyczny odziedziczył pan po przodkach?

Tata był palaczem w banku, a mama krawcową. Bardzo lubiła muzykę. Śpiewała w chórze zakopiańskim. Miała czysty głos – mezzosopran chyba, jak sobie teraz przypominam. Tata też był muzykiem amatorem. Miał kapelę góralską, z którą grał na weselach, chrzcinach i innych uroczystościach.

Jak wspomina pan te wczesne lata nauki?

Mieliśmy w domu pianino i tata czasem coś na nim grał. Dzieci też interesowały się tym instrumentem. Ja, najstarszy z rodzeństwa, najbardziej. Chodziłem też razem z bratem na lekcje fortepianu do pani Marii Lityńskiej, która mieszkała w Zakopanem przy ul. Kościeliskiej. Potem zapragnąłem mieć akordeon. Rodzice kupili ten instrument i zapisali mnie do szkoły muzycznej w Zakopanem. Tam uczyła nas solfeżu pani Janina Makuszyńska, żona autora *Przygód Koziołka Matołka*. Witała nas zawsze śpiewająco: „Dzień dobry dzieci". Odpowiadaliśmy też śpiewająco: „Dzień dobry pani". I razem: „Tonika dolna do, tonika górna do, oktawa…". Pani Janina była śpiewaczką, więc to przywitanie pięknie brzmiało. Zacząłem się tam uczyć, kiedy byłem w drugiej albo trzeciej klasie szkoły podstawowej. Z domu do szkoły miałem trzy kilometry, a na zajęcia musiałem chodzić z akordeonem. Nie zawsze się udało wsiąść do autobusu jadącego z Zakopanego do Kościeliska, bo mnóstwo ludzi nim jeździło i czasem nie było miejsca. A niekiedy autobus się psuł i trzeba było chodzić pieszo. Albo wysyłano po ludzi samochody ciężarowe, rosyjskie wojskowe ZiS – 150. Przystawiano drabinkę i po niej wchodziło się na pakę. Ale nie zawsze ta drabinka była i wtedy trzeba było sobie radzić inaczej. Najtrudniej miały panie, które nosiły spódnice do kostek. Chcąc nie chcąc, musiały podciągać te spódnice aż po biodra. No takie to były rozrywkowe podróże.

Jak trzeba było iść pieszo, to w lecie akordeon woziłem… sportowym wózkiem dziecięcym. A zimą, tego dokładnie sobie nie przypominam, ale prawdopodobnie na sankach. Pamiętam też takie sytuacje: Zimą późno wracałem autobusem. Z przystanku do domu trzeba było przejść pieszo co najmniej 300 metrów. Nie było tam jeszcze wtedy prądu, latarni. Wysiadałem z autobusu w kompletną ciemność. Nie wiadomo było, gdzie się stawia nogę, bo nawet nie było widać tego podłoża. I w tej ciemności czekał na mnie tata. Wołał: „Jędrek, ka ześ?" „Tata, tu jestem" – odpowiadałem. No i tak próbowaliśmy się znaleźć, a potem szliśmy do domu. Tata drogę oświetlał mizerną latarką. Czasem dźwigał mój akordeon.

W dzieciństwie pełnił też pan funkcję… organisty.

Tak. Następny etap to było granie na fisharmonii podczas mszy i nabożeństw w kaplicach na Krzeptówkach i na Skibówkach. Fisharmonia ma miechy i dwa pedały. To trudny instrument dla chłopca, który ma 120 centymetrów wzrostu. Nie da się zmagazynować powietrza, tylko trzeba cały czas „kalikować". Opierałem się więc tyłem o siedzisko, żeby się nie przewrócić i grając stawałem na zmianę na pedałach. To wyglądało zabawnie, zupełnie jakbym jechał na rowerze. Wokół mnie ustawiała się grupka kobiet i każda z nich chciała mieć decydujące słowo co do repertuaru. Wykłócały się teatralnym szeptem, poszturchując mnie i mówiąc, co mam teraz grać. A ja nie wiedziałem, której z

nich mam słuchać. W końcu poskarżyłem się tacie. Poszliśmy z tym problemem do księdza i od tego czasu on pisał mi na karteczce repertuar ze śpiewnika.

Czy miał pan jakieś inne zainteresowania oprócz muzyki? Czy może jakiś sport pan uprawiał?

Niczego nie uprawiałem tak na serio jak muzyki. Bawiliśmy się oczywiście na łące za domem. Miejsca w tym czasie było dużo. Tata kupił nam dysk do zabawy. Kupił też oszczep, ale mieliśmy go krótko, bo tata się pewnie przestraszył, że możemy sobie zrobić krzywdę. Graliśmy też w „zośkę", skakaliśmy wzwyż i w dal. A w zimie jeździliśmy na nartach.

Ponoć kiedy był pan dzieckiem i mama z panem szła do kogoś w odwiedziny, to prosiła: „Lepiej nic nie mów". Dlaczego tak było?

Mama była prostą kobietą, sama się nie najlepiej czuła wśród obcych ludzi, ale nawet jak szliśmy do rodziny, to też nas uciszała. Nie wiem dlaczego.

Bała się, że zdradzi pan rodzinne tajemnice?

Ale nie było żadnych tajemnic, nic się nie działo. Był to spokojny dom, normalne życie. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby

dziecko samo się nie kompromitowało, nie mówiło głupstw. „Lepiej nic nie mów”. I to „nic nie mów”, to mi zostało długo, długo… Ja byłem już w liceum muzycznym i nadal miałem problem z udzielaniem odpowiedzi. Jak miałem coś powiedzieć nauczycielowi, to się blokowałem. Dlatego z nauką było kiepsko, ale z muzyką było lepiej…

Dość wcześnie muzyka stała się dla pana źródłem utrzymania.

Tak, bo myśmy w liceum chałturzyli. Wie pani, ja mieszkałem w bursie. To taki wolny, dziki człowiek wyjechał sobie z Zakopanego spod opieki rodziców i wreszcie jest sam. Oprócz kierownika bursy, to właściwie nikt nad nim nie panował. Gdyby nie Lucjan Kaszycki, pedagog, który w pewnym momencie pełnił dobrowolnie rolę mojego opiekuna, zastępcy ojca, liceum pewnie byłoby moją ostatnią szkołą… Zamiast się uczyć, grałem, bo to zawsze lubiłem. A on przywoływał mnie do porządku. No ale jednak chałturzyłem. Zbieraliśmy się w jakieś małe zespoliki i zarabialiśmy pieniądze. A nie było przecież wtedy szaf grających, więc jeżeli gdziekolwiek ktoś chciał potańczyć, to musiał wynająć zespół. Ludzie wiedzieli, gdzie można nas znaleźć: albo w akademiku muzycznym, albo w bursie muzycznej. Licealista był tańszy niż student, więc pracy mieliśmy mnóstwo. Zapraszano nas w różne miejsca, między innymi do: Huty Aluminium w Skawinie, Spółdzielni Pracy Fryzjerów „Fala”, Klubu

Garnizonowego przy ul. Zyblikiewicza, na studniówki, imprezy urodzinowe, zabawy sylwestrowe i na tak zwane fajfy w restauracjach. W Zakopanem też graliśmy przez kilka wakacyjnych sezonów. Wtedy moi koledzy z zespołu mieszkali u nas w domu na Krzeptówkach.

To zapewne bywało wesoło...

Ja zawsze miałem wesołe życie. A teraz też mam… wesołe życie staruszka.

Na początku studiów w krakowskiej Wyższej Szkole Muzycznej wyjechał pan do USA. Z zamiarem pozostania tam?

Tak. Jak już powiedziałem, mama urodziła się w Chicago. W związku z tym mieliśmy prawo do emigracji i do pobytu stałego w Stanach Zjednoczonych. Dostaliśmy zielone karty, prawo do pracy i prawo stałego zamieszkania. I wszystkie te świadczenia, które należą się obywatelowi USA. Oprócz prawa do głosowania. No ale okazało się, że mam też obowiązek służyć w wojsku amerykańskim. Tego nie przewidziałem. A wtedy była wojna w Wietnamie i Amerykanie brali do wojska, kogo się dało. Na szczęście odroczyli mnie, bo nie znałem angielskiego. Miałem się nauczyć i za rok przyjść znowu na komisję. Ale już się tam nie pojawiłem, bo wróciłem na studia do Krakowa. Przed wyjazdem

do Stanów byłem już na pierwszym roku kompozycji u pana Lucjana Kaszyckiego. Kiedy było postanowione, że jesienią wyjeżdżamy, to ja już lekceważyłem naukę, nie zaliczałem egzaminów. Dlatego musiałem po powrocie jeszcze raz zdawać egzamin wstępny i zaczynać studia od początku. Tak że moje szkoły trwały po siedem lat. Podstawowa – siedem, Liceum Muzyczne – siedem i Wyższa Szkoła Muzyczna, przez ten wyjazd do USA, też siedem.

A potem zaczął pan współpracować z Ewą Demarczyk. To trwało prawie dwadzieścia lat. Mnóstwo wspaniałych koncertów, wiele cudownych piosenek. Jak to się zaczęło?

Trwało dokładnie dziewiętnaście lat. Wszystko zaczęło się w „Hefajstosie", czyli Teatrzyku Piosenki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Byli w nim między innymi: Leszek Długosz, Leszek Aleksander Moczulski, Wincenty Faber, Zbyszek Korwin Piotrowski i Marian Nawrocki, kolega z Zakopanego. Tworzyliśmy piosenki. No i pewnie Ewa gdzieś je usłyszała. I akurat tak się złożyło, że kiedy w 1966 roku wracałem do kraju Batorym, to tym samym rejsem z tournée po Stanach Zjednoczonych wracała Ewa, z ogromną grupą artystów. I właśnie podczas tej podróży zaproponowała mi, żebym napisał dla niej jakieś piosenki. Bo chciała występować z recitalem, a nie miała jeszcze wystarczającego repertuaru. W Krakowie przedstawiła mnie Piotrowi Skrzyneckiemu i Piwniczanom.

Dostałem od Piotra tekst – *Balladę o cudownych narodzinach Bolesława Krzywoustego* Galla Anonima. To była nasza pierwsza piosenka. I od razu w tym samym roku została wykonana na balu w Pieskowej Skale.

I od razu była grana w I programie Polskiego Radia. To była pierwsza piosenka Ewy Demarczyk, jaką pamiętam.

Piosenka powstała w 1966 r. W Warszawie powstawała wtedy płyta *Ewa Demarczyk śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego*. I Ewa nagrała też przy okazji tę *Balladę o cudownych narodzinach…* z naszym chórkiem. I to było to, co pani słyszała. Natomiast w Pieskowej Skale graliśmy na żywo z małym piwnicznym zespołem. To było takie bardzo proste wykonanie. Jak Piotr usłyszał tę piosenkę jeszcze przed tym balem, to mówił pół żartem: „Będzie skandal, będzie skandal!”. Bo uważał, że to jest taka piosenka, która do Ewy nie pasuje. Piotr lubił skandale, był zachwycony… No ale skandalu nie było.

No może niewielki, ze względu na tekst.

Ze względu na tekst i na muzykę też. W porównaniu z utworami Zygmunta, które Ewa śpiewała do tej pory, to była taka prosta balladka. Śpiewała też czasem bzdurki, na przykład jakiś szlagier włoski o pocałunkach… No ale ta bzdurka o Krzywoustym zakosiła swoim bzdurstwem wszystkie inne. Potem już

dostawałem inne teksty. Na przykład *Imię twe* Cwietajewej.

Tę cudowną piosenkę usłyszałam w radiu po raz pierwszy chyba około 1978 r. Dosłownie wysłała mnie w kosmos. I jeszcze „Nieśmiertelniki" skomponowane do wiersza Bronisławy Ostrowskiej. Czy pan sam znalazł te teksty?

Ja sam nie szukałem. Zdawałem się na to, co dostawałem od Piotra albo od Ewy. Cieszyłem się, że piszę dla niej, ale też równolegle tworzyłem muzykę dla teatrów, więc miałem sporo pracy. Nie dodawałem sobie jeszcze nie zamówionej. Tak to było, że pisałem, ile musiałem.

Niedawno Krzesimir Dębski opowiadał, że utwory które komponuje po prostu przepływają mu nad głową. I on po nie sięga. „Kto złapie, ten ma" – mówił. Czy u pana jest podobnie?

Tak jest. No to tak jak wymyślanie wszystkiego. Jak pani pisze wiersz, to też gdzieś on tam fruwa, skojarzenia jakieś przychodzą – tak sobie to wyobrażam. Myśli, uczucia, ekspresja – to się tworzy, kumuluje, w którymś momencie się to zbiera w jakąś jedną myśl zasadniczą, skrystalizowaną. Wtedy się to zapisuje. Tak samo jest z muzyką. Mnóstwo dźwięków jest w wyobraźni, tylko trzeba je uszeregować, w taki sposób, żeby wyszło coś logicznego i w miarę ładnego. Coś, z czego będę zadowolony. Bo

to wszystko przecież według własnego gustu się robi.

*

Jest takie nagranie na YouTube z koncertu Ewy Demarczyk w Poznaniu w 1980 r. Śpiewa pan tam z nią piosenkę *Ronda del Fuego*. Czy to był jedyny utwór, który wykonywał pan w duecie z Demarczyk?

Kiedy z zespołu odszedł Zbyszek Wodecki, to przez pewien czas nie było nikogo, kto mógłby z Ewą zaśpiewać na przykład *Pocałunki*. To był z założenia utwór do śpiewania w duecie, więc ja to z nią wykonywałem. No i jeszcze może dwie piosenki, oprócz *Ronda del Fuego*. Ale to nie była moja domena, że tak powiem. W Piwnicy Ewa śpiewała z Mikim Obłońskim. Ona nie wychodziła na scenę z utworem wcześniej niż po pół roku ćwiczeń. Krócej nie przygotowywała piosenki nigdy.

Ćwiczenia odbywały się codziennie?

Tak, prawie codziennie mieliśmy próby, za wyjątkiem świąt i weekendów. Spotykaliśmy się u Ewy albo w wynajętym pomieszczeniu w domu kultury na Rynku. Ktoś tam czuwał nad tym i szukał miejsc, gdzie mogliśmy ćwiczyć. Jedną piosenkę Ewa ćwiczyła najdłużej, może nawet ponad rok. To *Palma sola*. Śpiewała ją potem zawsze na koniec koncertu. Ja chciałem, żeby

wykonywała tę pieśń bez akompaniamentu, ale Ewa się na to nie zgadzała. W końcu wymyśliła sama, że poprosi gitarzystę, żeby tylko wystukiwał rytm na gitarze. No i udało się bardzo dobrze. Kończyła każdy koncert tym utworem. Pieśń o samotności bez akompaniamentu robiła osobliwe wrażenie.

To była taka wyciszająca piosenka. I ona kończy też dwupłytowy album *Ewa Demarczyk live*. Józef Opalski tak pięknie o niej napisał na okładce tego albumu: *I nic bardziej poruszającego niż koniec spektaklu, gdy z ciemności wyłania się nierytmiczne, zdezorientowane, szukające dla siebie miejsca w świecie stukanie w gitarę. Przy tym suchym, niezdecydowanym, niepewnym „akompaniamencie" artystka śpiewa wiersz Nicolasa Guillen – „La palma sola" – „Samotna palma". W ciszy aż przeraźliwej, która zawładnęła widownią, usłyszeć można opowieść o samotności. O samotności palmy, kobiety – ale i o samotności ziemi, naszej planety, która wyczarowana wielką sztuką Ewy Demarczyk zdaje się toczyć wśród bezmiaru wszechświata w poszukiwaniu dobroci i miłości…*

A nie wiem, jaka to płyta. Myśmy nagrali jedną w Rosji. Czy to właśnie ta?

Nie, nagranie odbyło się podczas koncertów w Teatrze Żydowskim w Warszawie w grudniu 1979 r., a album

wydało w 1982 r. Przedsiębiorstwo Nagrań Wideo-Fonicznych „Wifon”. Piosenki zapowiada Piotr Skrzynecki. Mam tę płytę do dziś. Panie Andrzeju, jak i dlaczego zakończyła się ta współpraca z Ewą Demarczyk?

Dlatego się zakończyła, że po którymś tournée zaczęły się nieprzyjemne rozmowy o pieniądzach. I skutkiem tego był rozpad zespołu.

Czyli nie dlatego, że ona miała trudny charakter?

Czy Ewa miała trudny charakter? No każdy ma w jakiś sposób trudny charakter. Bez przesady. Ona miała pewne założenia i trzeba było je spełniać. Była główną postacią w tym naszym zespole, tylko dzięki niej jeździliśmy po świecie. Była najważniejsza. Dla niej przychodzili ludzie na koncerty, przecież nie dla nas. Myśmy ją traktowali jak koleżankę, ale w pewnych sytuacjach ona decydowała. A nie każdy personel lubi dyrektora. Chociaż, prawdę mówiąc, to nasze życie w zespole naprawdę nie było trudne. A ten charakter Ewy ujawniał się raczej w kontaktach z obcymi ludźmi, a szczególnie dziennikarzami. Ona dziennikarzy nie lubiła, a to już łatwo przenosi się na forum.

Jeszcze à propos tego konfliktu… Coś tam poszło w zespole nie tak i koledzy zaczęli się buntować. I to dotarło do Ewy. Powiedziała, że jeżeli komuś się nie podoba, to ona go zwalnia.

Logiczne. Z kolei ja się ująłem za zespołem, choć to mnie nie dotyczyło, bo Ewa chciała mnie zatrzymać przy sobie. Ale uparłem się, że jeżeli zespół ma być zwolniony, to ja też odchodzę. Tak po cichu myślałem, że to uratuje sytuację. No ale nie uratowało, wszyscy zostali zwolnieni, łącznie ze mną. Z tym, że potem powoli Ewa pobrała niektórych muzyków z tego zbuntowanego zespołu. Koledzy wrócili do grania. Ja jeszcze współpracowałem z nią chwilę jako doradca kompletujący nuty. Jak były próby, to Ewa mnie zapraszała, żebym poprowadził zespół. I tak powoli się to rozeszło. A Ewa już nie miała żadnych nowych utworów. No i… wszyscy przegrali.

Którą z podróży artystycznych z Ewą Demarczyk pamięta pan szczególnie?

Kiedy lecieliśmy na Kubę, to zaczął się palić jeden z czterech silników samolotu. Na szczęście pilotowi udało się odciąć dopływ paliwa i ogień zgasł. Ale dla równowagi musiał wyłączyć także silnik po drugiej stronie, żeby samolot leciał prosto. I udało się dolecieć do Hawany – na dwóch silnikach, a nie na czterech. Lecieliśmy bardzo nisko i długo. A potem kolejne przygody… Jak wylatywaliśmy z Hawany, to za każdym razem trwało to mniej więcej pięć dni. Codziennie rano samolot nie był gotowy. „O nie, jeszcze nie! Maniana!” – słyszeliśmy. I to *maniana* było przez kilka dni. Nie wiedzieliśmy, czy z powodu tego, że remontują samolot, czy nie ma kompletu pasażerów i czekają, bo im się nie

opłaca lecieć z paroma osobami. My w każdym razie zawsze rano byliśmy na lotnisku – niewyspani, ale gotowi do wylotu.

Marcin Kydryński napisał niedawno książkę o Kubie. Określił ustrój tam panujący jako „plażowy komunizm". Że niby jest bieda, ale wszyscy żyją na dużym luzie.

Tak, wie pani, oni faktycznie są na dużym luzie, bo tam nic nie ma. Tam jest bieda okropna. Na przykład zabawki dla dzieci można było kupić, na talony oczywiście, tylko raz w roku – na Dzień Dziecka. Ludzie się ustawiali w kilometrowych kolejkach. Ile można było kupić w ciągu jednego dnia, tyle musiało wystarczyć.

Przez kilka lat był pan kierownikiem muzycznym Teatru Lalki, Maski i Aktora „Groteska" w Krakowie i Teatru Dramatycznego im. Jana Kochanowskiego w Opolu. A w 1995 r. został pan pedagogiem w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia w Krakowie.

Tak, prowadziłem klasę interpretacji piosenki. Bo nie wszyscy uczniowie tej naszej średniej szkoły mieli zamiar uczyć się tylko klasyki. Część chciała pójść w stronę rozrywki. No i ja uczyłem tę właśnie grupę uczniów, a głównie uczennic. Bo na wydziale wokalnym były głównie dziewczyny. One były rozsądniejsze i jakoś trzeźwiej, praktyczniej myślące. Chłopcy garnęli się raczej

do innej muzyki. No w każdym razie byliśmy z moim akompaniatorem bardzo popularni. Ponieważ zainteresowanie było coraz większe, lekcje trwające początkowo 45 minut skracaliśmy do 30, a nawet 20 minut. Bo chętnych było dużo, a musieliśmy się zmieścić w określonych godzinach pracy szkoły.

Czyli to były indywidualne zajęcia?

Tak, indywidualne. To było moje założenie i mój warunek. Inaczej nie potrafiłbym prowadzić zajęć. Bo każdy śpiewa inny utwór, ma inny charakter. Piosenkę interpretuje się indywidualnie, wprawdzie według tego, co ona zawiera, ale dysponuje się konkretnym wykonawcą i trzeba przekazywać konkretne uwagi.

Kogo pan wspomina jako swoich najzdolniejszych uczniów?

Jest sporo dziewczyn, które bardzo mądrze poszły w swoją własną twórczość, poorganizowały sobie zespoły. Jak na przykład dwie góralki z Zakopanego – je pamiętam, bo one są mi najbliższe – Hania Wójciak i Basia Giewont. One pracują na swoim. Mają zupełnie różny repertuar, ale same go tworzą, śpiewają i nagrywają. Są też inne panie, które co jakiś czas się odzywają, że mają zespoły, które mogą być wynajmowane na różne koncerty i uroczystości. Ale ja też wiedziałem, że one niekoniecznie będą korzystały z tego materiału, na którym ćwiczyliśmy. Zależało mi na tym, żeby wiedziały, co jest istotne w

utworze. Że piosenki nie przygotowuje się z dnia na dzień, że trzeba ją opanować jak rolę w teatrze. Wyreżyserować. To się tworzy długo. Jak już wspomniałem, Ewa nie przygotowywała piosenki krócej niż pół roku.



Józef Baran i Andrzej Zarycki podczas 794 Krakowskiego Salonu Poezji w Teatrze Starym w Krakowie, 2024 r., fot. Maria Duszka

A nad czym pan teraz pracuje?

Kilka dni temu dostałem od Ewy Lipskiej wiersze, do których mam skomponować muzykę. Będzie konkretny program. Moja żona, Beata Paluch, też przygotowuje spektakl z piosenkami. Skomponowałem niedawno muzykę do kilku utworów Sławomira Krzyśki. To poeta, który już raz miał wieczór w Piwnicy pod

Baranami, a wkrótce będzie miał drugi. Dwie piosenki zaśpiewa Kamila Klimczak, a dwie moja córka Julia. To jest trudny materiał, bo to są teksty ze zmieniającą się frazą i rytmem. Troszkę tak jak u pani, prawdę mówiąc. Tego samego typu problem. Nie jest łatwo. Dostałem też od pana Sławomira dwa tomiki wierszy dla dzieci. Czuję, że będzie jeden czardasz.

Te węgierskie geny tutaj się odzywają?

Możliwe. Ja czardasze grałem od dzieciństwa. Mój tata też grał tego rodzaju muzykę. Bardzo łatwo uruchamia ekspresję i wyobraźnię. Mam to gdzieś w sobie. Już napisałem kilka takich utworów. Pierwszy z nich to była *Cyganka* z wierszem Osipa Mandelsztama dla Ewy Demarczyk. Niedawno skomponowałem też *Modlitwę cygańską* do tekstu Moniki Partyk.

W dzieciństwie grywał pan w kaplicach. A teraz jest pan ateistą, agnostykiem…?

Tak… Problem polega na tym, że ja nie umiem w cuda uwierzyć. A cała wiara opiera się na cudach. Mój, mam nadzieję, zdrowy rozum odrzuca takie rzeczy. Z tego powodu jestem wyautowany z wszelkich religii. Nie pamiętam dokładnie, kiedy się to stało. Człowiek dojrzewa powoli do różnych rzeczy. To też tak przyszło stopniowo.

Czy lubi pan góralską muzykę?

Bardzo lubię, ale na żywo. Najczęściej zespół góralski składa się z trzech muzyków. Najprostszy, obowiązkowy, minimalny skład to: pierwszy skrzypek, czyli prymista, drugi skrzypek, czyli sekund, który akompaniuje grając funkcje harmoniczne, i basista, który podstawę gra na basach, instrumencie trochę większym od wiolonczeli. Zdarza się, że zespół składa się z większej ilości muzyków. Bywa też skład, którego nie polecam, czyli dwóch basistów. Trudniej wtedy czysto grać. Zdecydowanie nie polecam kilku prymistów. Góralska muzyka, jak zresztą w ogóle muzyka ludowa, polega na wariacjach. To są cały czas improwizacje, nie gra się przecież według nut. Jest jakaś podstawa, temat i na nim buduje się figuracje według inwencji muzyka, tak jak w jazzie, czy w muzyce rozrywkowej. A gdyby się grało figuracje według inwencji kilku osób naraz, to wtedy byłby bałagan. Tego się raczej nie stosuje. Przynajmniej na trzeźwo…

Często ludzie wyśmiewają się z tej muzyki, a to jest wina akustyków. Rzadko zdarza się nagranie, w którym można usłyszeć prymistę, czyli tego skrzypka, który gra melodię. Gra te wszystkie fantastyczne rzeczy, które świadczą o inwencji, technice i pięknie tej muzyki. Jeżeli się tego posłucha, to inaczej wygląda ten folklor.

Ponoć ulubionymi pana lekturami są biografie.

Stosunkowo niedawno zacząłem się interesować tym, jak myślą, żyją i tworzą inni ludzie. Czytałem między innymi biografię Ennio Morricone i Jana Sebastiana Bacha. A ostatnio, to też jest biografia, aczkolwiek zupełnie innego typu – *Portret Doriana Graya* Oscara Wilde'a. Pięknie napisana, ładnym językiem. Kupiłem to sobie niedawno. Tak prawdę mówiąc, to mnie często bardziej fascynuje sposób pisania niż treść. I to jest też w poezji: piękne sformułowania, opisy, a mniej zdarzeń. To jest ten kierunek.

Należy pan do grona krakowskich artystów, którzy od lat regularnie się spotykają...

Po zamknięciu Księgarni Muzycznej „Kurant" spotykamy się w Cafe Botanica przy ul. Brackiej. Jest w naszej nadzwyczajnej grupce między innymi Jan Poprawa, encyklopedia wydarzeń związanych z piosenką artystyczną. Jest globtroter Dariusz Piwowarski. To dzięki niemu Andrzej Pacuła wydał tę książkę o mnie; teraz już tego wydawnictwa Grupa M-D-M nie ma. Jest kolega Mieczysław Rokosz, z którym mieszkałem w Bursie Szkół Artystycznych przy ul. Augustiańskiej. On jest polonistą i historykiem. Podziwiam go, bo wszystko wie, wszystko pamięta. Dlatego patrzę na niego niemal jak na Obcego z kosmosu. Kolejny wszystkowiedzący fantastyczny kolega to Hieronim Sieński. Bywa też Władysław Szyszko, bardzo zacny, dowcipny, malarz i archeolog. Tworzy wyimaginowane, cudowne portrety,

jakby maczkiem siane. Przychodzą też czasem panie, z którymi mam zaszczyt współpracować: wspaniała dyrygentka Monika Bachowska, poetka Monika Partyk, poetka i wykonawczyni piosenek Agnieszka Grochowicz. Bywa Janusz Czerwiec, który śpiewa w chórze męskim. Pisuje recenzje z bliskich nam wydarzeń muzycznych. Jest też poetą. Stworzyliśmy razem kolędę *Anioły*. Śpiewa ją Lidia Jazgar. Chcemy zachęcić artystów Piwnicy do wykonania tej pastorałki. Niedawno Piwniczanie przygotowali koncert, który składa się z piosenek Ewy Demarczyk i Marka Grechuty. Występują z nim w całej Polsce i bardzo się to ludziom podoba. To miłe.

Przedruk z Rocznika Kulturalnego „Piosenka" 2025, nr 13

Zobacz też:

> Do życia jest potrzebna gitara

Poeta, którego przykryła legenda

Rozmowa z dr Bogumiłą Żongołłowicz, pisarką, dziennikarką, dokumentalistką o jej najnowszej książce „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana” i jej bohaterze.

*



Dr Bogumiła Żongołłowicz, fot. Krzysztof Jabłonowski

Są nazwiska, które pamiętamy. I są takie, które pamiętamy tylko w jednym zdaniu. „Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier…” – wers z wiersza „Żądamy amunicji” – zna wielu. Przeszedł do historii jako głos walczącej Warszawy, nadany z powstańczej „Błyskawicy”, powtórzony przez BBC, przetłumaczony na wiele języków. Stał się symbolem heroizmu, desperacji i wiary. A jego autor? Zbigniew Jasiński został zapamiętany jako „poeta Powstania Warszawskiego”. Tytuł zaszczytny, ale też niebezpieczny. Symbol bywa ciężki. Potrafi przykryć człowieka. Za sprawą jednego wiersza zniknął prekursor polskiej marynistyki. Zniknął pisarz międzywojnia. Zniknął emigrant w

Australii, który nie widział dla siebie miejsca w komunistycznej Polsce. Zniknął człowiek, który w dramatycznym liście pisał o bankructwie nie w tonie finansowej klęski, lecz egzystencjalnej straty – bo tracił swoje książki, „niezbędne do życia”. Bogumiła Żongołłowicz przez dwadzieścia lat zdejmowała z Jasińskiego warstwę symbolu. Od Słupska – miasta jej młodości – po Griffith, Bermagui i Bundaberg w Australii. Szukała archiwów, kopiowała dokumenty, docierała do ludzi, którzy jeszcze pamiętali. Ratowała materiały przed zapomnieniem – dosłownie przed wodą, która mogła je zniszczyć. Jej książka „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana” nie burzy legendy. Ona ją pogłębia. Pokazuje, że za wierszem nadanym spod bomb stał człowiek z krwi i kości – ambitny, uparty, czasem omylny, wierny swoim wyborom. Bo, żeby naprawdę kogoś uhonorować, trzeba najpierw go odkryć. *Redakcja*

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

Pani najnowsza książka powstawała dwadzieścia lat. Co było impulsem, który sprawił, że postanowiła Pani zająć się postacią Zbigniewa Jasińskiego?

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia*):

To nie impuls, a stała „obecność” Jasińskiego w moim życiu. Jako

autor najpopularniejszego wiersza Powstania Warszawskiego„Żądamy amunicji”, był dla mnie postacią intrygującą od najmłodszych lat. Deklamowałam ten wiersz podczas akademii w Szkole Podstawowej nr 7 w Słupsku. Byłam wtedy w siódmej lub ósmej klasie. Los rzucił nas oboje – w dużym odstępie czasu – na kontynent australijski. Jasiński musiał zostać bohaterem jednej z moich biograficznych książek. Jest mi najbliższy ze wszystkich osób, nad dorobkiem których pochylałam się w swojej dotychczasowej twórczej pracy. Odnowiłam jego grób. Wystąpiłam z wnioskiem – pozytywnie zaopiniowanym do Instytutu Pamięci Narodowej o uznanie Jasińskiego za weterana walk o wolność i niepodległość Polski.

Również dzięki moim zabiegom **–** po zakończeniu programu funkcjonalno-użytkowego w nowej strefie Słupska, między ulicami Grunwaldzką a Aleją 3-go Maja **–** jedna z ulic zostanie nazwana imieniem Zbigniewa Jasińskiego.

Zatytułowała Pani książkę „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana”. Dlaczego uznała Pani, że dotychczasowe publikacje były niewystarczające?



Dotychczasowe publikacje – poczynając od daty debiutu Jasińskiego – zawierają błędne informacje. Słowniki podają, że debiutował opowiadaniem „Sztorm” w „Kurierze Literacko-Naukowym” – dodatku do krakowskiego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” w 1929 roku. Tymczasem debiutował dwa lata wcześniej pod pseudonimem Zbigniew Rawicz w dwutygodniku literacko-artystycznym „Tętno” – organie Towarzystwa Młodych Zwolenników Literatury i Sztuki w Poznaniu. Pismo redagowało prezydium TMZLiS, w którym zasiadali: Emil Zegadłowicz, Jan Antoni Szalla, ksiądz rektor Nikodem Cieszyński, malarz-portrecista Józef Kidoń i jego żona rzeźbiarka Teofila Kopanicka. Pierwszy numer „Tętna”, poświęcony głównie celom i zadaniom organizacji, ukazał się 1 października 1927 roku. Już w drugim numerze (15 października) zamieszczono wiersz *Zła baśń*

Rawicza, który należy uznać za literacki debiut dziewiętnastoletniego Jasińskiego, jeśli przyjąć, że „debiut literacki” zazwyczaj odnosi się do pierwszej oficjalnej publikacji dzieła autora, niezależnie od formy (wiersz, opowiadanie, powieść, itp.).

Dotychczasowe publikacje mówią niewiele o małżeństwie z Wandą Karczewską, która z sobie tylko znanych powodów pisała do Lesława Bartelskiego w liście datowanym 7 sierpnia 1986 roku: „O jedno Pana stanowczo proszę i nawet zobowiązuję do tego, aby Pan (…) nie łączył mojej osoby z tamtym człowiekiem”, podczas gdy Jasiński wiele lat wcześniej występował w obronie jej dobrego imienia. Uczynił to 23 maja 1963 roku w piśmie do Mieczysława Grydzewskiego, redaktora londyńskich „Wiadomości”, gdy ten opublikował fragment książki Ryszarda Kiersnowskiego „Młodość sercem pisana”. Ukazał się na pierwszej stronie pisma pod tytułem *Cardiac Call*. Dla mnie jest to „obrazek miłosny”. Kiersnowski „wszedł z butami” w życie przyjaciół, uznając, że wolno mu, ponieważ był świadkiem na ich ślubie. Wzburzony redaktorską decyzją „ogłoszenia tego świństwa drukiem” poeta na wiele lat przerwał współpracę z „Wiadomościami”.

Kontynuując wątek uczuciowy, muszę odnieść się jeszcze do książki „Miłość’ 44: 44 prawdziwe historie powstańczej miłości” autorstwa Agnieszki Cybuły, reklamowanej jako „wzruszające,

dramatyczne, niezwykłe opowieści o gorących porywach serca, seksie, który w najstraszniejszych chwilach stawał się namiastką bliskości, a czasem ostatnią przyjemnością w życiu, i o miłości dojrzałej, która przetrwa wszystko". Mój bohater w grobie się przewraca. Autorka nie znalazła żadnych dowodów na to, że łączyło go z jego bratową Stanisławą coś więcej niż przyjaźń. Tadeusz Jasiński, pracownik Urzędu Skarbowego w Siemianowicach na Górnym Śląsku, otrzymał polecenie nawiązania kontaktu z ogniwami konspiracji za Bugiem. Aresztowany najprawdopodobniej przez sowieckich pograniczników w grudniu 1939 roku w Zarębach Kościelnych, w powiecie Ostrów Mazowiecka, został przewieziony do więzienia w Brześciu i ślad po nim zaginął. Zbigniew poznał bratową dopiero, gdy przyjechała do Warszawy w drugim roku wojny. On, impulsywny „kresowiak", jak o sobie mówił, długo nie mógł się przyzwyczaić do dziewczyny ze Śląska. Zbliżyły ich beztroskie wycieczki nad Wisłę. I… uliczne łapanki – codzienność okupowanej przez Niemców stolicy. Na emigracji wspominał:

Była z nas dość dziwna para przyjaciół: źle domyślni przechodnie uśmiechali się na widok przystojnej i postawnej dziewczyny, przerastającej towarzysza o pół głowy. Kiedyś unikałem wychodzenia z nią do miasta, jej wzrost mnie krępował: czułem się jakiś mniejszy. Z czasem jednak jakoś zapomniałem o tym: przestałem dostrzegać to, jak i wiele innych cech Stachy. Myślę, że nawzajem z nią było tak samo. Przyjaźń nasza polegała przede

wszystkim na możliwości spowiadania się przed nią z moich wybryków, z których umiała mnie delikatnie, a niepostrzeżenie, krok po kroku wyprowadzać na drogę właściwszą – i na jej przyzwyczajeniu się do moich zwierzeń, do troszczenia się o mnie, i do mnie w ogóle. Z czasem staliśmy się sobie niemal nieodzowni.

Tadeusz Jasiński dopiero po wojnie uznany został za zmarłego. „Podciągać" przyjaźń z owdowiałą-nieowdowiałą bratową pod miłość to nadużycie. Do tego garściami – z braku dostępu do innych źródeł – brać z opowiadania Jasińskiego „Stachę". To zakrawa na plagiat.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

W ILUSTRACJI



W XIII rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego cały Naród złoży hołd powstańcom, tym z Armii Krajowej i tym z Armii Ludowej, i tym, którzy nie należąc do żadnej organizacji oddali swe życie w walce z okupantem hitlerowskim. W dniu tym wszyscy czcić będą pamięć bohaterskich żołnierzy 1 Armii, którzy polegli na Przyczółku Czerniakowskim.

WYDANIE SPECJALNE
STOLICA
WARSZAWSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1957 R.
CENA ZŁ. 10



Na pozycji w narożnym domu u zbiegu Moniuszki i Marszałkowskiej. Przez lornetkę widać stąd pozycje niemieckie w Ogrodzie Saskim.

Fot. Eugeniusz Lokajski



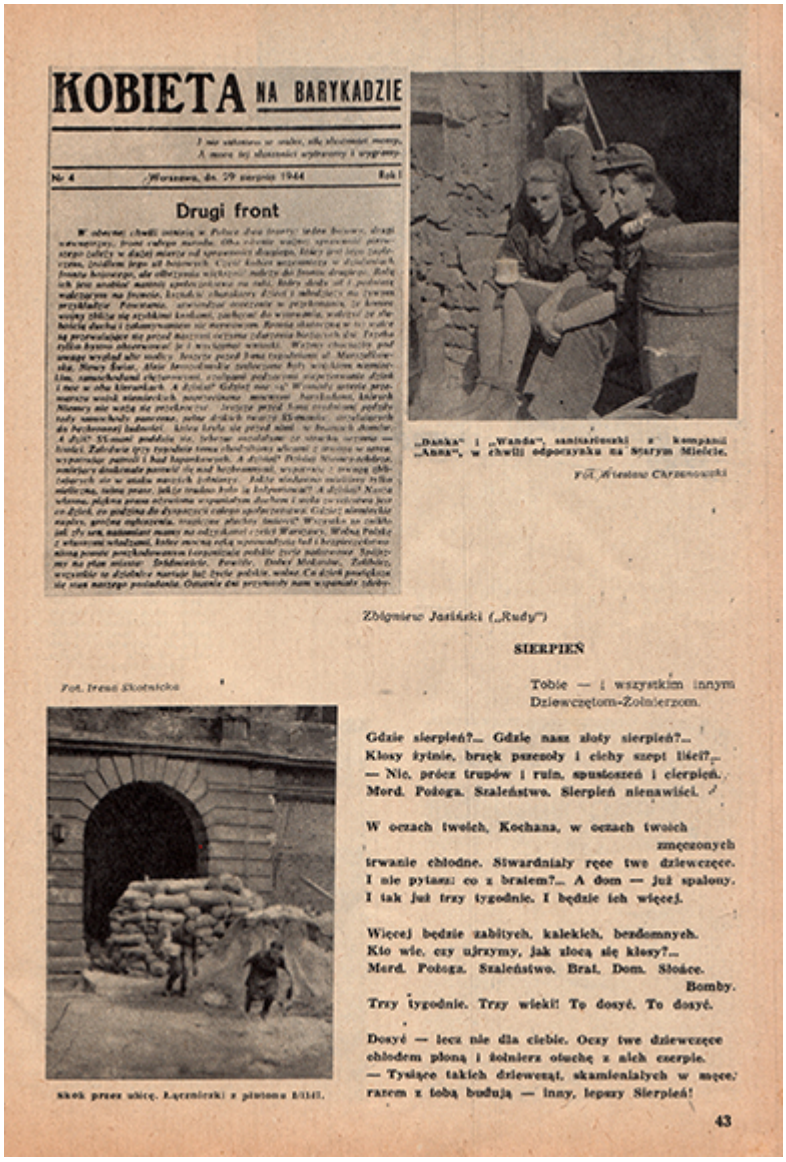
28

Zbigniew Jasiński („Rudy")

ODMAWIAMY

Zapełniajcie, zapełniajcie nami Muzea,
Na nic zda się podstęp i nikczemność!
Niechby cała Stolica spłonęła
Ta ofiara nie będzie daremna.
Nas pragniecie nastraszyć nalotem?...
Nas, przerazić hukiem bomb wśród głowni?
Uwięzieni, legniemy pokotem,
Robotnicy Warszawskiej Gazowni!
— Tak... żyć — chcemy. Nie chcemy umierać!
Boże!... Ujrzeć jeszcze — Ojczyznę swobodną!
Zginąć — teraz?... Zginąć właśnie teraz?...
— Boże! Pozwól zachować nam godność!
Przetrwać duńnie jeszcze te męczarnie.
Niech nas pędzą na ciężki pancerne!
Niech zwycięski szał braci ogarnie.
Kiedy serca przestrzelą nam wierne!
— Pogardzamy waszym ultimatum.
Nie nas ludzie pokusą służalczą.
Odmawiamy! Żadnych delegatów!
Oddziały nasze niech walczą!

W początku sierpnia Niemcy spędzili do podziemi Muzeum Narodowego kilka tysięcy ludzi wyciągniętych z domów na Nowym Świecie, z Gazowni na Lucznej i okolicy. Żądali następnie wybrania delegatów, którzy udaliby się do Dowództwa Armii Krajowej z wezwaniem do przerwania działań powstańczych, grożąc wrzutkiem śmiercią w razie odmowy. Spośród tysięcy zakładników nie znalazł się nikt, kto byłby gotów spełnić tę rolę.



KOBIETA NA BARYKADZIE

Nr 4 Warszawa, dn. 29 sierpnia 1944 Rok I

Drugi front

„Danka" i „Wanda", sanitariuszki z kompanii „Anna", w chwili odpoczynku na Starym Mieście.

Fot. Wiesław Chrzanowski

Zbigniew Jasiński („Rudy")

SIERPIEŃ

Tobie — i wszystkim innym Dziewczętom-Żołnierzom.

Fot. Irena Skotnicka

Gdzie sierpień?... Gdzie nasz złoty sierpień?... Kłosy żytnie, brzęk pszenoły i cichy szept liści?... — Nic, prócz trupów i ruin, spustoszeń i cierpień. Mord. Pożoga. Szaleństwo. Sierpień nienawiści.

W oczach twoich, Kochana, w oczach twoich zmęczonych trwanie chłodne. Stwardniały ręce twe dziewczęce. I nie pytasz: co z bratem?... A dom — już spalony. I tak już trzy tygodnie. I będzie ich więcej.

Więcej będzie zabitych, kalekich, bezdomnych. Kto wie, czy ujrzymy, jak złocą się kłosy?... Mord. Pożoga. Szaleństwo. Brat. Dom. Słońce. Bomby. Trzy tygodnie. Trzy wieki! To dosyć. To dosyć.

Dosyć — lecz nie dla ciebie. Oczy twe dziewczęce chłodem płoną i żołnierz otuchę z nich czerpie. — Tysiące takich dziewcząt, skamieniałych w męce, razem z tobą budują — inny, lepszy Sierpień!

Skok przez ulicę. Łączniczki z plutonu Ir/1147.

43

Fot. arch. autorki

*

Jakie archiwalia lub dokumenty były dla Pani największym odkryciem?

„Pre-oryginał”, w którym autor wyjawia, że utwór „Żądamy amunicji” miał być natychmiast po jego napisaniu nadany przez „Błyskawicę”. Nadano go jednak go dopiero po kilku dniach – 24

sierpnia 1944 roku – „nie bez przetargów na wyższym szczeblu autorytetów AK. (…) Uległ pewnej cenzurze, nie chciano bowiem obrażać uczuć Polaków w Londynie". Pierwszą linijkę trzeciej zwrotki „Wyjcie, żałobne wyjce, zawodźcie – tam w Londynie" zamieniono na ostrożne, wyważone: „Czemu żałobny chorał śpiewacie tam w Londynie".

Znamy Jasińskiego jako „poetę Powstania Warszawskiego". Co tracimy, gdy sprowadzamy twórcę do jednego historycznego momentu?

Erudycję, która w przypadku Jasińskiego robi ogromne wrażenie na odbiorcy jego prac. Obeznanie w literaturze, historii, filozofii, sztuce i astronomii jest tu oczywiste. Jednakże, żeby dojść do tego przekonania, trzeba poznać całą jego twórczość, zwłaszcza publicystykę.

Wiersz „Żądamy amunicji" żyje własnym życiem. Czy według Pani ocalił Jasińskiego od zapomnienia – czy raczej go zasłonił?

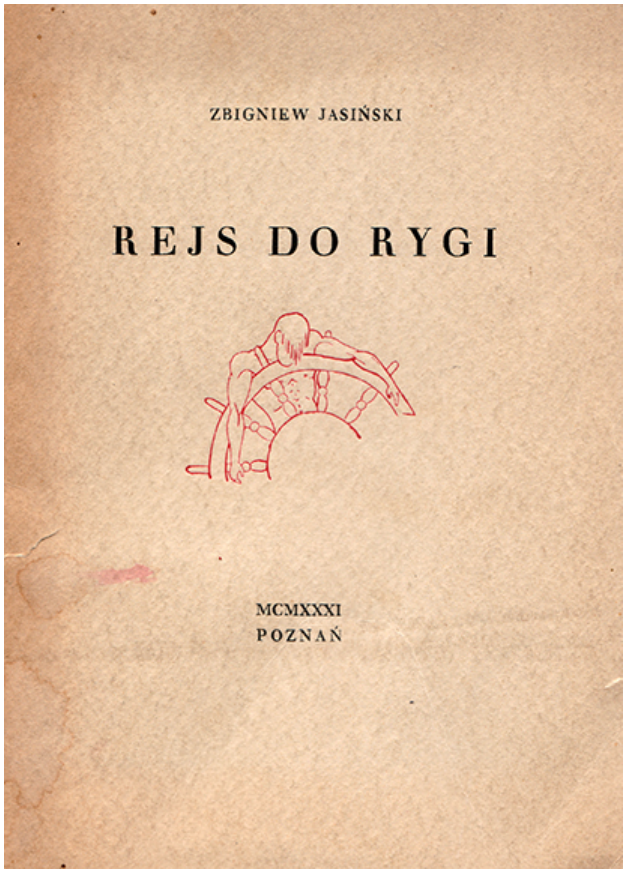
Z całą pewnością ocalił. Więcej. Zapewnił mu miejsce w narodowym panteonie.

Rejsy, Bałtyk, marynistyczne metafory. Czy w przedpowstańczej twórczości Jasińskiego dostrzega Pani

zapowiedź późniejszego tonu – odwagi, ryzyka, dążenia do wolności?

Tak. Morze jest dla wielu wyzwaniem i symbolem wolności. Dla niego było pełne nadziei i dramatu. Odbywając służbę czynną w marynarce wojennej, uległ wypadkowi. Poślizgnęła mu się noga na lince na maszcie podczas porannych ćwiczeń. Spadł z kilkunastu metrów na pokład, miażdżąc prawy staw łokciowy. Po nieudanej operacji został – z kategorią D – zwolniony do cywila. Marynarski okres w jego życiu zaowocował dwoma zbiorami wierszy „Rejs do Rygi" (1931) i „Papierowym okrętem" (1936) oraz „grubą, wytworną księgą", jak ją określił Antoni Bogusławski, zatytułowaną „Morze w poezji polskiej. Antologja poezyj marynistycznych" (1937).

*



Po morzach się tłukę, po dalekich morzach,

gdzie tęsknota mną miota jak fala okrętem.

Widzę lądy nieznane skroś pienne bezdroża,

widzę lądy radosne, słońcem uśmiechnięte –

*

Chociaż wabią do siebie słodką obietnicą,

płynę dalej, szalony! – gubiąc pragnień wątek,

– i na zawsze zostanie dla mnie tajemnicą,

że się nigdy nie mogę zrównać z horyzontem – –

*

Tylko Żeglarz Najmędrszy, Wszechświata Kapitan,

co żegluje w zbiedzonych serc ludzkich głębinie,

wie najlepiej, najpewniej (w gwiazdach o tym czyta),

kiedy wreszcie osiągnę horyzontu linię – – –

*

Jak doświadczenie emigracji wpłynęło na twórczość i poczucie tożsamości poety?

Negatywnie. Był osamotniony z wyboru. Nie akceptował wielu poczynań elit emigracyjnych.

W liście o upadłości Jasiński pisze o utracie książek jako tragedii niemal egzystencjalnej.

Książki odgrywały w jego życiu wielką rolę. Tak w kraju, jak na

emigracji. Zapełniały ściany jego pokoju w przedwojennej Warszawie. Powojenny księgozbiór zaczął budować w Londynie. Stanowił część mienia przesiedleńczego do Australii.

Mówiąc o upadłości warto nadmienić, że w tym samym czasie otrzymał list z Australijskiego Czerwonego Krzyża w sprawie rodzinnego majątku. Ten rodzinny majątek to kamienica położona w Poznaniu przy ulicy Madalińskiego 8. Jak wynika z zapisów księgi wieczystej budynku, Jasiński jest do dziś współwłaścicielem tej nieruchomości.



Fot. arch. autorki



Dom Jasińskich w Griffith (2025), fot. B. Żongołłowicz

Co Pani czuła, gdy weszła do domu w Griffith?

Ogromne wzruszenie. Widziałam ten dom na zdjęciach z 1955 r., czyli z okresu budowy, ale z latami zmienił numerację. Gdyby nie Clive Polkinghorne, wieloletni prezes Towarzystwa Genealogicznego i Historycznego w Griffith nie trafiłabym do niego. Obeszłam wszystkie na swój sposób znajome kąty dzięki uprzejmości lokatora, który wpuścił mnie do środka i pozwolił porobić zdjęcia. Jasiński zaprojektował ten dom, wylał pod niego fundamenty i postawił wokół działki – „robota nie lada” – drewniany płot o długości ponad stu metrów. Oczami wyobraźni zobaczyłam w salonie, którego francuskie drzwi wychodziły na ogród, kominek, a w gabinecie poety półki z angielską encyklopedię i rocznikami paryskiej „Kultury”.

Jak bardzo ta książka jest także Pani osobistą podróżą – od

Słupska do Melbourne?

W Słupsku, w którym się urodziłam i dojrzewałam, w odległości około stu metrów od mojego domu, stanął po wojnie – i stoi do dziś – na skwerze przy ulicy Szarych Szeregów pierwszy w Polsce pomnik ku czci powstańców warszawskich. To miejsce kształtowało moją tożsamość. Podążenie śladami autora „Żądamy amunicji" było tylko kwestią czasu. To, że oboje osiedliliśmy się na antypodach, tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinnam napisać jego biografię. Był osobowością powojennej Polonii australijskiej, którą badam od początku mojej emigracji.

Dlaczego Jasiński – mimo symbolicznej roli – został zapomniany w Polsce?

Zamieszkał po wojnie piętnaście tysięcy kilometrów od kraju. Stał się mniej widzialny, mniej słyszalny.

Gdzie okiem zatoczyć – drzemiący, bezchmurny czyściec. Senne piekło ze mną pośrodku. Ugór rudy i czarny, rozziany, spopielały od ognia, co niedawno szalał po suchym, słomianym stepie. Tu i tam upalny karłokrzew mimozy. Tu i tam, butelka po piwie, puszka od konserw. Tu i tam, na dnie wyschłego, słonego bagniska, trup owcy zdechłej z pragnienia. I ja, pośrodku. A dalej – żółty, letargiczny horyzont. A za nim, wielotysięczna

przestrzeń. Sennie spoglądam na wschód: tam oto miasto najbliższe, dalekie Sydney. I na południe: Melbourne, pół dnia samolotem. Na północ: straszliwe bezludzie: Queensland. Na zachód: Wielka Pustynia Australijska. A za nią, pustynia oceanów. A za pustyniami – Polska.

Gdyby mogła Pani zadać jedno pytanie samemu Zbigniewowi Jasińskiemu – o co by Pani zapytała?

Dlaczego nie zabezpieczył oryginału „Pieśni o Powstaniu”. Nie tracę nadziei, że ten „poemat barykad”, jak go określił Tadeusz Żenczykowski „Kania”, odnajdzie się i trafi do skarbca narodowych pamiątek.

Do jakiego czytelnika skierowana jest ta książka?

Przede wszystkim do tego, któremu historia największego – tragicznego – zrywu we współczesnej historii Polski, jakim było Powstanie Warszawskie, jest bliska. Pierwotny tytuł książki, który pojawia się w artykułach i wywiadach ze mną, brzmiał „Gdzież moja ojczyzna… Życie i twórczość Zbigniewa Jasińskiego”. Emigracyjny dylemat. Jasińskiego i mój. Uznałam, że „Biografia nieznana” bardziej przemawia do odbiorców.

Link do książki:

https://www.bogumilazongollowicz.com/index.php?view=article&id=67&catid=9

Zobacz też:

> Powrót z niepamięci

Śpiew przełamujący bariery

Art’n’Voices to polski oktet wokalny (zespół a cappella) z Gdańska, składający się z ośmiu młodych wokalistów. Grupa zyskała uznanie dzięki swojej interpretacji muzyki współczesnej, w tym utworów tworzonych specjalnie dla nich, a także aranżacji muzyki filmowej i rozrywkowej.



Art’n’Voices, Hamburg, fot. © Marcus Hartelt (Drezno)

Z członkami zespołu ART’N’VOICES – Anną Rocławską-Musiałczyk i Szymonem Durajem, po koncercie w Hamburgu – rozmawia Jolanta Łada -Zielke.

Co skonsolidowało Wasz zespół w ciągu 15 lat działalności?

Anna Rocławska-Musiałczyk: W ciągu tych 15 lat przewinęło się przez zespół wiele osób, ale od roku 2022/2023 mamy stały skład i dzięki temu udało nam się osiągnąć optymalne brzmienie. Konsoliduje nas również to, że wszyscy patrzymy w tym samym kierunku muzycznym, czego dowodem są wszystkie nasze przedsięwzięcia: albumy płytowe, trasy i koncerty.

Szymon Duraj: Jesteśmy niesłychanie różni. Żartujemy sobie, że zespół ART'N'VOICES to osiem osób i dziewięć opinii. Natomiast łączy nas wspólna misja, czyli definiowanie przyszłości muzyki a cappella poprzez najwyższej jakości brzmienie, ale jednocześnie chcemy uczynić ją przystępną dla każdego człowieka. W drodze do tego celu udało nam się już wiele osiągnąć, czego rezultatem było zaproszenie nas na występ w Elbphilharmonie, jednej z najpiękniejszych sal koncertowych na świecie.

Waszą siłą jest również to, że sami tworzycie repertuar. Pani Anna komponuje i aranżuje utwory, robi to też pan Tomasz Chyła.

Anna Rocławska-Musiałczyk: Jako absolwentka wydziału instrumentalnego w Akademii Muzycznej w Gdańsku (fortepian) pracuję głównie jako pianistka, ale ukończyłam także dyrygenturę chóralną, razem z Tomaszem Chyłą, który jest też skrzypkiem jazzowym. Wszyscy jesteśmy związani z muzyczną, wokalną sceną Trójmiasta. Każdy z nas dokłada do repertuaru coś od siebie, swoją twórczą cząstkę, na przykład Marta Jundziłł pisze teksty. Stanowimy więc jedność w naszej różnorodności. Trzeba też podkreślić, że nie jesteśmy chórem, lecz zespołem wokalnym. Chórów jest dużo, a zespołów znacznie mniej, zwłaszcza oktetów. Jesteśmy pionierami tego typu formacji, zwłaszcza w Polsce.



Marta Jundziłł, Anna Rocławska-Musiałczyk, Małgorzata Priebe, Hamburg, fot. © Marcus Hartelt (Drezno)

Publiczność lubi ciekawe aranżacje znanych utworów, na przykład piosenek Stinga, które też macie w repertuarze. Czy prezentując wasze autorskie programy wychodzicie naprzeciw oczekiwaniom odbiorców?

Anna Rocławska-Musiałczyk: Aranżacje muzyki pop są tylko dodatkiem do naszej głównej działalności, choć robimy to z przyjemnością. Ale przede wszystkim tworzymy własną muzykę, opartą na naszych tekstach, która zawiera spory ładunek emocjonalny. Dotyczy to naszej ostatniej płyty *Pieces of Myself*, z której utwory zaprezentowaliśmy w Elbphilharmonie *(jedna z*

najbardziej spektakularnych sal koncertowych świata – symbol nowoczesnego Hamburga, przyp. red.). Staramy się dobierać program tak, żeby miał odpowiednie napięcie dramaturgiczne. Proponujemy słuchaczowi muzyczną podróż po ścieżkach i meandrach muzyki współczesnej. Chcemy pokazać naszemu odbiorcy, że nowa muzyka niekoniecznie musi odstraszać lub pozostać niezrozumiała. Staramy się przekazać naszą twórczość jako interesującą opowieść, która sytuuje się pomiędzy tym co tradycyjne, a tym co eksperymentalne.

Szymon Duraj: To normalne, że ludzie najbardziej lubią słuchać tego, co znają i przyciągają ich znane nazwiska artystów. Dlatego wykorzystujemy utwory muzyki pop, ale w naszej własnej interpretacji. Pięć osób spośród nas to kompozytorzy, który aranżują znane melodie, ale w taki sposób, żeby zyskały unikalne brzmienie. Ten punkt programu oczywiście przyciąga widza, ale kiedy on już znajdzie się na sali, staramy się przedstawiać mu historie, które nas poruszają, z nadzieją, że zarezonują z jego osobistym doświadczeniem.

Do udziału w nagraniu videoklipu *Pride (Duma)* zaprosili Państwo różne osoby, które prezentują się autentycznie, bez upiększeń.

Anna Rocławska-Musiałczyk: Naszą intencją było dotarcie do szerszej publiczności. My jako ART'N'VOICES reprezentujemy

muzykę klasyczną, czyli poważną. Chcemy pokazać ją ludziom w bardziej przystępnej odsłonie. Pomysł na videoklip *Pride* jest próbą przełamania bariery pomiędzy muzykami klasycznymi a publicznością, która uważa często ten gatunek za zbyt ekskluzywny i niedostępny. My chcemy wyjść poza te ramy i pokazać, że muzyka klasyczna może poruszać nie tylko piękne, ale też trudne tematy.

Videoklip *Pride*

Panie Szymonie, a jak Pan czuł się podczas realizacji tego videoklipu, zwłaszcza kiedy zaproszeni goście stanęli między wami?

Szymon Duraj: Było to dla mnie bardzo osobiste przeżycie, bo znaleźli się tam też moi rodzice, czyli najbliższe osoby, które były bardzo dumne z faktu, że mogły wesprzeć nas przy realizacji tego projektu. Dzień, w którym nagrywaliśmy teledysk należał do takich, które zapamiętuje się na dłużej. Oprócz *Dumy* prezentujemy inne emocje związane z problemami współczesnych ludzi. Dziś mamy dostęp do mediów społecznościowych i jesteśmy połączeni z resztą świata bardziej niż kiedykolwiek, ale jest to tylko pewna fasada. W utworze *Isolation* – jednym z najtrudniejszych na naszej najnowszej płycie *Pieces of Myself* – staraliśmy się przekazać myśl, że kiedy człowiek czuje się samotny pośród ludzi, odpowiedzią na to jest muzyka. Tego utworu można posłuchać w sieci, do czego

serdecznie zachęcamy. Ale na scenie staramy się wzmocnić jego przekaz poprzez ruch. Myślę, że zarówno kompozytorce Ani, jak i Marcie – autorce tekstu i solistce – udało się to osiągnąć.

Anna Rocławska-Musiałczyk: Dla mnie ważną kompozycją płyty „Pieces of Myself" jest *Destructivity*. To jeden z najdłuższych utworów na tym albumie, z tekstem Marty Jundziłł. Tekst opowiada historię kobiety, która usiłuje „skleić siebie", ale finalnie brakuje jej na to siły. Chciałabym zachęcić odbiorców, aby zanurzyli się w tym utworze, choć nie jest on łatwy w odbiorze. Nasza płyta ma nie tylko zachwycać pięknem brzmienia, lecz prowokować do refleksji, pytań, dyskusji, także na trudne tematy. Ważnym aspektem tej płyty są także kompozytorzy, którzy stworzyli utwory dla naszego albumu.
Zdecydowaliśmy się przedstawić muzykę z dwóch perspektyw: kobiecej i męskiej, dlatego do udziału w tym projekcie zaprosiliśmy Marka Raczyńskiego – znakomitego kompozytora, z którym jako zespół współpracujemy od lat. Strona kobieca w warstwie kompozytorskiej przypadła mojej skromnej osobie.



Szymon Duraj, Marta Jundziłł, Hamburg, fot. © Marcus Hartelt (Drezno)

Jak wygląda wasza praca nad techniką wokalną? Czy każdy z Was bierze lekcje emisji głosu, czy ćwiczycie razem? Czy najwięcej pracujecie nad intonacją?

Szymon Duraj: Intonacja to oczywiście fundament naszego warsztatu zespołowego. Ciężko powiedzieć, na co kładziemy największy nacisk, bo tworzenie muzyki przypomina łańcuch, w którym każde ogniwo jest ważne. Natomiast na szczycie tej piramidy znajduje się interpretacja i przekazywanie odpowiednich emocji. Sprawy techniczne jak na przykład indywidualne lekcje emisji głosu, próby i dyskusje nad sposobem

śpiewania to elementy, które prowadzą nas do interpretacji utworu; do tego, co chcemy przekazać poprzez naszą muzykę?

W swojej twórczości propagują Państwo rodzimą kulturę, na przykład poprzez utwory z *Suity Kaszubskiej*.

Anna Rocławska-Musiałczyk: Przy komponowaniu tej suity wykorzystałam oryginalne melodie z różnych stron Kaszub, bo ta kraina geograficzna jest bardzo różnorodna. Każdy region Kaszub ma własne tradycje i melodie. Wybrałam do suity cztery z nich. To też jest przykład utworu, który ewoluuje. Nuty są udostępnione online w naszej Wirtualnej Bibliotece Art'n'Voices. Natomiast podczas koncertu za każdym razem rozwijamy tę kompozycję, dodając do niej improwizację. Wykonujemy ją w tej konwencji już od kilku lat. Kluczowym elementem tej nowej odsłony *Suity Kaszubskiej* jest improwizowana partia skrzypiec w wykonaniu Tomasza Chyły. Jako wokaliści AnV staramy się w naszej improwizacji rozwijać wspólnie wybrane motywy i tematy, które powstają tu i teraz podczas koncertu. Przed wejściem na scenę wyznaczamy sobie jedynie konkretny charakter improwizacji. Wykonujemy różnego rodzaju elementy aleatoryczno-sonorystyczne, które rozwijamy na bieżąco podczas koncertów. Za każdym razem improwizacja stanowi dla nas rodzaj muzycznej niespodzianki.

Szymon Duraj: Odczuwamy przy tym zawsze przypływ

adrenaliny, bo nigdy nie wiemy, co koleżanka lub kolega wymyśli, a musimy za tym konsekwentnie podążyć *(śmiech).*

Polscy widzowie w Elbphilharmonie ze wzruszeniem przyjęli kolędę *Lulajże Jezuniu*, ale i Niemcy byli mile zaskoczeni słysząc dwie tutejsze pieśni w Waszym wykonaniu.

Szymon Duraj: To jest nasza tradycja, że za każdym razem jak występujemy za granicą, staramy się przygotować jakiś utwór w języku publiczności. W Hamburgu wykonaliśmy kolędę *Leise rieselt der Schnee* w aranżacji Tomasza, oraz premierowo *Es kommt ein Schiff* geladen w opracowaniu Anny. W ten sposób połączyliśmy takie wątki, jak miejsce – północne Niemcy i morskie wybrzeże – oraz czas – Święta Bożego Narodzenia.



Art’n’Voices, fot. © Marcus Hartelt (Drezno)

Zobacz też:

> Wszystko zaczęło się w Bayreuth

> Bunt obrazów i dźwięków

PAMIĘCI HELENY Z POTOCKICH von MAUBERG



Helena Potocka von Mauberg, fot. arch. W. Żurawskiego

*

Wrzesław Żurawski *(Łańcut)*

Urodziła się w Warszawie 18 maja 1934 roku. Rodzina mieszkała wówczas w miejscowości Derażne nad Horyniem na Wołyniu na północny zachód od Równego. Ojciec Roman Potocki (1893-1971) wychował się w Antoninach koło Starokonstantynowa, który to majątek miał przejąć po swym ojcu Józefie Mikołaju (1862-1922). Niestety w wyniku rewolucji bolszewickiej, która nastąpiła u końca I wojny światowej Antoniny zostały zniszczone i znalazły się po sowieckiej stronie granicy. Roman Potocki kupił nieduży pałac z majątkiem w Derażnem, gdzie wraz z żoną Anną Światopełk-Czetwertyńską (1902-1987) mieszkał od 1929 do 1939 roku. Tam też przyszło na świat pięcioro ich dzieci: Maria (1929-2020), Roman (1930-2013), Elżbieta (1933-), Helena (1934-2026) i Marek (1938-).

Relacje rodzinne z Łańcutem były bardzo serdeczne, ponieważ dziadek Heleny – Józef Mikołaj był bratem Romana, III ordynata na Łańcucie, a żona Józefa Helena z Radziwiłłów (1874-1958) była siostrą Elżbiety (1861-1950) – żony Romana. W serdecznych kontaktach pozostawali też synowie Józefa Mikołaja – Roman (ojciec Heleny) i jego brat Józef (1895-1968) oraz synowie Romana z Łańcuta – Alfred (1886-1958) IV ordynat i jego brat Jerzy (1889-1961). Dla rodziny, która utraciła Antoniny, Łańcut pozostawał zawsze najważniejszym gniazdem.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej ojciec Heleny – Roman został zmobilizowany do wojska. Po napaści Niemiec na Polskę, 17 września 1939 roku wkroczyli do Derażnego Sowieci, wyrzucając rodzinę z ich domu i rabując majątek. Roman, zmobilizowany, przeszedł z Wojskiem Polskim do Rumunii, gdzie został internowany do końca wojny. Matce Heleny, Annie z Czetwertyńskich Potockiej, obarczonej pozostałą liczną rodziną dopomogli Alfred i jego matka Elżbieta z Radziwiłłów. 6 grudnia 1939 roku, kierowani przez przybyłą z Łańcuta zakonnicę – kurierkę, opuścili na zawsze Derażne. W bardzo mroźną i śnieżną zimę potajemnie, oddzielnymi grupami, przedostali się przez linię Ribbentrop-Mołotow do Warszawy. Tam, po zatrzymaniu się w Hotelu Europejskim należącym wciąż do rodziny Czetwertyńskich, wyruszyli do Łańcuta, gdzie zdążyli do Zamku na wigilię.

W swej książce „Pewna Historia” wydanej w 2001 roku Helena szczegółowo opisała powyższe i kolejne perypetie wojenne swej rodziny. Dała przy tym jak najlepsze świadectwo o Alfredzie Potockim i jego postawie moralnej w czasie okupacji niemieckiej.

Latem 1940 roku rodzina przeniosła się do Suchowoli – majątku dziadków Czetwertyńskich na Podlasiu. Helena widziała i opisała grabież majątku przez niemieckich zarządców okupacyjnych. W 1942 roku znalazła się znów w Łańcucie. Tym razem rodzina wynajęła dom państwa Rutkowskich na Przedmieściu przy

obecnej ulicy 29 listopada. Było to bezpieczniejsze locum niż w Zamku, gdzie część pomieszczeń zajmowali wojskowi niemieccy. Alfred i jego matka Elżbieta z Radziwiłłów wspierali Annę z dziećmi, a wszelkie wydarzenia rodzinne były obchodzone w Zamku, między innymi pierwsza komunia święta Heleny w Kaplicy Zamkowej w 1943 roku. Helena chodziła do szkoły powszechnej prowadzonej przez Siostry Boromeuszki w budynku koło kościoła farnego. We wspomnieniach opisała ciepło księdza Ignacego Kozieję – znakomitego katechetę i duszpasterza rodziny Potockich.

W obliczu nadejścia Armii Czerwonej Alfred Potocki, IV ordynat opuścił Łańcut na zawsze 23 lipca 1944 roku. Anna z Czetwertyńskich Potocka zdecydowała się pozostać w Łańcucie, chroniąc się na krótko w dniach przejścia frontu w nieodległej wsi Handzlówka. Helena kontynuowała naukę w szkole, która musiała przenieść się do różnych opuszczonych budynków, ponieważ okupanci sowieccy zarekwirowali szkołę Boromeuszek na szpital wojskowy.



Zamek w Łańcucie, rysunek wygenerowany przez ChatGPT5

Z powodu narastających represji, w styczniu 1946 roku, rodzina ostatecznie pożegnała Łańcut udając się do Chorzowa, skąd potajemnie mieli przedostać się na zachód Europy. Ten plan nie powiódł się jednak i wiosną przenieśli się do Krakowa pod opiekę rodziny Franciszka Potockiego (z linii tulczyńskiej) zamieszkałej przy ul. Brackiej 2. Po różnych zabiegach ze wsparciem rodziny za granicą Helena wraz z najstarszą siostrą Marią wyjechała do Francji, gdzie dotarły na Wielkanoc do Montrésor.

Zamek w Montrésor – słynny zamek we Francji jest nieprzerwanie w rękach polskich od połowy XIX wieku aż do dziś. Zawsze opiekuńczy, serdeczny. Właścicielami byli Braniccy, później Reyowie. Tak się złożyło, że po kilku latach siostra Heleny, Maria osiadła tu poślubiwszy spadkobiercę zamku Stanisława Reya.

Zanim to nastąpiło, jesienią 1946 roku obie siostry zostały wysłane na naukę do klasztornych szkół z internatem w Belgii. Po drodze, w hotelu Ritz w Paryżu odbyło się zaplanowane spotkanie z Elżbietą z Radziwiłłów Potocką i jej synem Alfredem, emigrantami z Łańcuta. Jak się okazało, Helena widziała ich wtedy po raz ostatni.

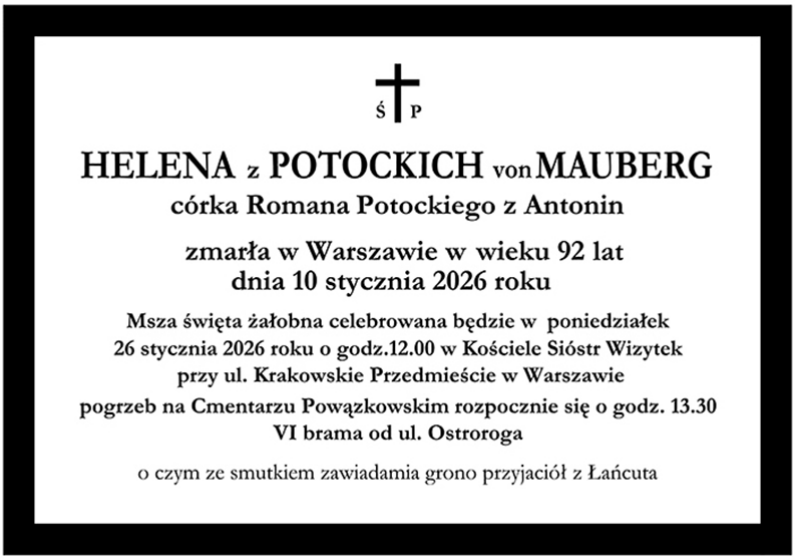
W połowie 1946 roku powrócił do Polski po internowaniu w Rumunii ojciec Heleny Roman Potocki. Oboje rodzice zamieszkali w Konstancinie pod Warszawą. Helena zdecydowała się do nich dołączyć. Opuściła Francję i Belgię w drugiej połowie sierpnia 1948 roku statkiem handlowym „Olsztyn" do Gdyni. Wkrótce rodzina przeniosła się do Krakowa, gdzie zamieszkała w skromnych warunkach w budynku dawnego Hotelu Saskiego przy ul. Sławkowskiej. Tu spędzili około 25 lat.

W latach 1953 – 1955 Helena studiowała architekturę na Politechnice Krakowskiej, a po wyjściu za mąż za Wacława von Mauberga (1931-2023) przeniosła się do Gliwic, gdzie małżonkowie założyli rodzinę i mieszkali do 2005 roku. Ostatnie lata spędzili w Warszawie.

Wraz ze swą liczną rodziną odwiedzała Łańcut wielokrotnie. Tu pochowany został jej ojciec Roman w 1971 roku. Była wraz z innymi Potockimi na uroczystości koronacji obrazu Matki Bożej Pani Łańcuckiej w 1992 roku, na wielu spotkaniach rodzinnych

organizowanych w Zamku przez Rosę i Stanisława Potockich w latach 1997 – 2014. Uczestniczyła w pogrzebie Heleny z Radziwiłłów, jej synów Alfreda i Jerzego Potockich i żony Jerzego Susany Yturregui y Orbegoso (1898-1989) sprowadzonych do rodzinnej krypty pod Łańcucką Farą z grobów w Lozannie w 2001 roku. Tu w Łańcucie pochowała też swego brata Romana w 2013 roku i w 2014 roku stryja Stanisława, ostatniego z linii łańcuckiej Potockich.

Napisała wspomnianą już książkę „Pewna Historia” wydaną przez wydawnictwo DiG w Warszawie w 2001 roku oraz o swym dziadku „Seweryn Książę Czetwertyński” wydaną przez Editions Spotkania w Warszawie w 2017 roku. Głęboko oddana kultywowaniu historii i dobrego imienia swej rodziny, szczęśliwa matka, babcia i prababcia zakończyła życie w Warszawie 10 stycznia 2026 roku.



†

Ś P

HELENA z POTOCKICH von MAUBERG

córka Romana Potockiego z Antonin

zmarła w Warszawie w wieku 92 lat
dnia 10 stycznia 2026 roku

Msza święta żałobna celebrowana będzie w poniedziałek
26 stycznia 2026 roku o godz.12.00 w Kościele Sióstr Wizytek
przy ul. Krakowskie Przedmieście w Warszawie
pogrzeb na Cmentarzu Powązkowskim rozpocznie się o godz. 13.30
VI brama od ul. Ostroroga

o czym ze smutkiem zawiadamia grono przyjaciół z Łańcuta

*

Zobacz też:

> Antoniny po pożodze

> Powrót

Rok Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej



Katarzyna Szrodt (z lewej) i Liliana Komorowska w programie artystycznym “Wiersze moje jak kwiaty”, fot. arch. autorki

*

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Poezja, to piękna i trudna forma literacka, która zachwyca nas w recytacji, ale rzadko sięgamy po nią sami. Coraz rzadziej czytamy wiersze, a przecież głębsze, wnikliwsze i wrażliwsze spojrzenie na rzeczy świata tego jest nam potrzebne.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska – Poetka Miłości, Polska Safona, zasługuje na przypomnienie. Jej wiersze nie straciły nic ze swojej intensywności i emocjonalności, zaś forma ich zdumiewa precyzją i zaskakuje skrzydlatymi myślami.

Senat Rzeczypospolitej uchwalił rok 2025 Rokiem Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, co zainspirowało mnie do napisania scenariusza programu poetycko-muzycznego.

Córka Wojciecha Kossaka, wnuczka Juliusza Kossaka – malarzy koni i batalistów, Maria Kossakówna zwana Lilką, urodziła się w 1891 roku w wyjątkowej, artystycznej rodzinie i wyjątkowość była jej przypisana, gdyż obdarzona była talentem poetyckim i malarskim. Wychowała się w Krakowie, w willi zwanej Kossakówką, otoczonej wielkim ogrodem. Lilka, od dziecka uwrażliwiona na naturę, widziała ją jako magiczny świat roślin, drzew, kwiatów, ptaków, owadów, równoważny ze światem ludzkim. Natura była źródłem natchnienia zarówno dla wierszy, jak i dla rysunków i akwarel.

Drugim tematem swej twórczości Lilka uczyniła Miłość, co było absolutną rewolucją w polskiej literaturze dwudziestolecia międzywojennego, gdyż do tej pory o miłości pisali poeci-mężczyźni. Lilka Kossakówna – rozmarzona i eteryczna, była zarazem kobietą zalotną, umiała czarować i uwodzić mężczyzn. I takie też są bohaterki jej wierszy.

Nie była szczęśliwa w pierwszym małżeństwie, ale już drugi związek, z Janem Gwalbertem Pawlikowskim, w początkowym okresie był udany, co zaowocowało dwoma tomikami wierszy “ Niebieskie migdały”/1922 rok i “Różowa magia”/1924, które wprowadziły Pawlikowską w środowisko literackie Warszawy i Krakowa.

Po raz pierwszy kobieta-poetka odważyła się napisać o pożądaniu, o kobiecych pragnieniach, była gotowa szaleć z miłości w życiu i w wierszach. W wierszach-erotykach Pawlikowska jest nowoczesną kobietą pozbawioną kompleksów, świadomą swojej siły. Taka jest zalotna bohaterka tomiku “Dancing. Karnet balowy”/1927 rok:

dotknęłam pana jak motyl egretą

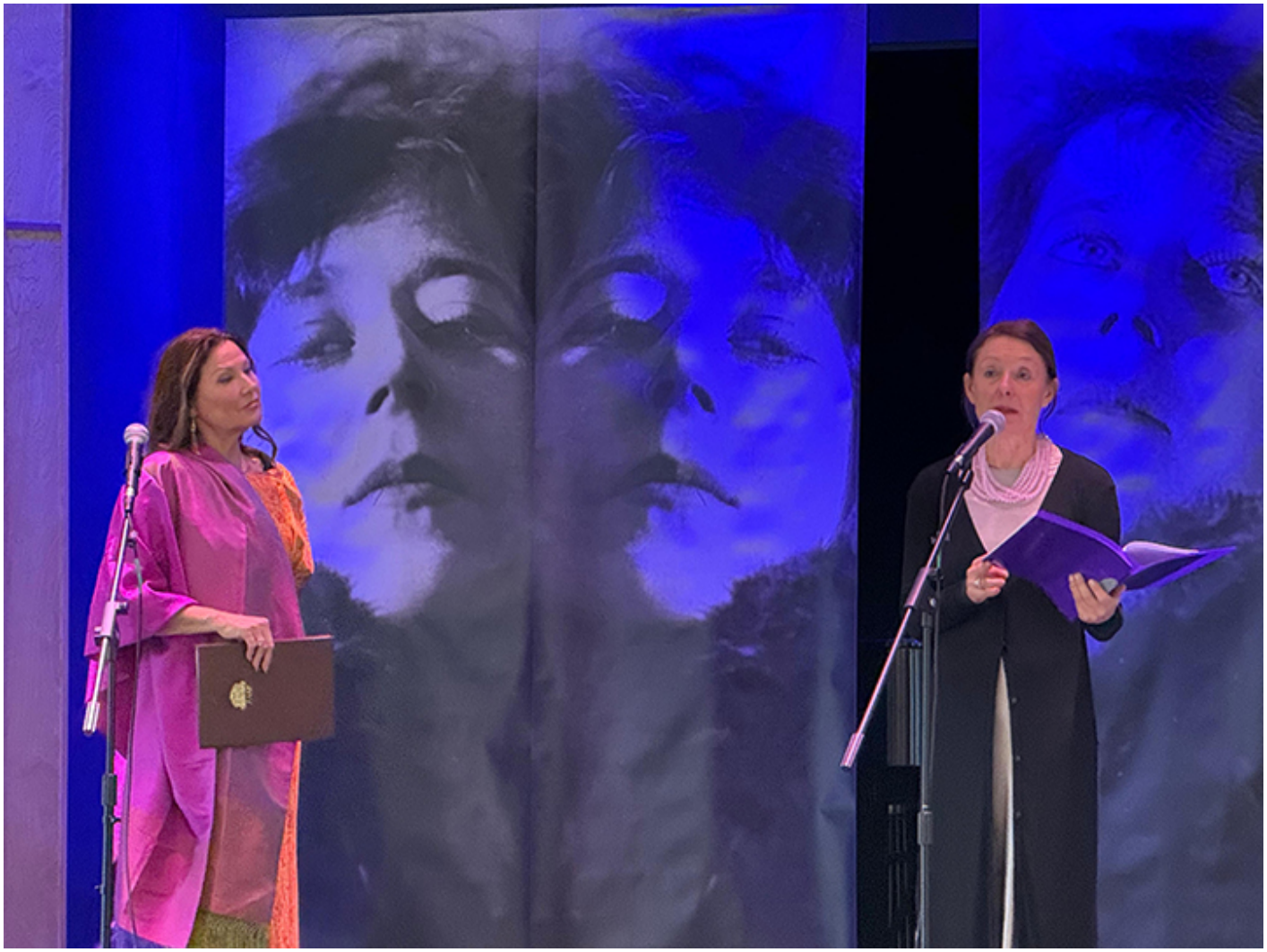
przepraszam

to było niechcący

pan jest jak czarny irys smukły i gorący

zapomniałam

że jestem kobietą



Liliana Komorowska (z lewej) i Katarzyna Szrodt w programie artystycznym “Wiersze moje jak kwiaty”, fot. arch. autorki

*

Wiersze Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej układają się w pamiętnik miłosny – od oczarowania i zachwytów po rozczarowanie i rozpacz. Nikt w poezji tak boleśnie nie oddał dramatu zanikającej miłości:

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.

Patrzysz w okno i smutek masz w oku…

Przecież mnie kochasz nad życie?

Sam mówiłeś przeszłego roku…

Śmiejesz się, lecz coś tkwi poza tem.

Patrzysz w niebo na rzeźby obłoków…

Przecież ja jestem niebem i światem?

Sam mówiłeś przeszłego roku… /Miłość/

*

W latach 30. poetka zaczęła pisać komedie, lekkie, dowcipne farsy, które grane były w teatrach i cieszyły się popularnością wśród widzów. Dziś już nikt nie pamięta komedii "Szofer Archibald" czy farsy "Baba dziwo" – teatry nie sięgają już po nie. We wrześniu 1939 roku, wraz z mężem lotnikiem, Pawlikowska opuściła kraj. Poetka wraz z wojną i wyjazdem na emigrację utraciła wszystko – ukochanych rodziców, Kossakówkę, środowisko literackie, swoich czytelników. Cztery lata przeżyte na wygnaniu w Anglii, gdzie mieszkała w pokoju hotelowym pod Londynem, gdy mąż jej stacjonował w bazie wojskowej, były

latami smutku rozpaczy zakończonymi chorobą i śmiercią.



Od lewej: Liliana Komorowska, pani Konsul Generalna w Vancouver Aleksandra Kucy oraz Katarzyna Szrodt po prezentacji prohramu artystycznego “Wiersze moje jak kwiaty” w Konsulacie RP w Vancouver, fot. arch. autorki

To szalone życie, podporządkowane miłości i twórczości literackiej, przedstawił nasz program “Wiersze moje jak kwiaty”. Moja opowieść o życiu poetki, przeplatana była wierszami w recytacji Liliany Komorowskiej i muzyką, znakomicie dobraną do

epoki i nastroju wierszy, przez skrzypaczkę Nadię Monczak, graną przez czwórkę muzyków.

Po raz pierwszy przedstawiliśmy program 23 października w ambasadzie R.P. w Ottawie i wyruszyliśmy w trasę: Montreal – Vancouver – Seattle – Nowy Jork – Hamilton. Dodatkowo przygotowałyśmy z Lilianą Komorowską lekcje poezji i recytacji w trzech szkołach polonijnych – w dwóch szkołach w Montrealu i w szkole w Toronto.

Był to pracowity i bogaty w przeżycia czas podróży z Poetką i Poezją. Gdy Maria Pawlikowska Jasnorzewska napisała wiersz "La Précieuse" można sądzić że opisała w nim siebie:

Widzę cię, w futro wtuloną,

wahającą się nad małą kałużą

z chińskim pieskiem pod pachą, z parasolem i z różą…

I jakżeż ty zrobisz krok w nieskończoność?

*

A jednak, wbrew obawom, Poetce udało się zrobić skok „w nieskończoność", do naszych czasów. Poezja jej zachowała swoją

siłę i magię – wzrusza nas dziś i zachwyca od 100 lat.

Zobacz też:

> Podróżując po Kanadzie z Miłoszem

> Rok Wisławy Szymborskiej w Kanadzie

Boże Narodzenie 2025



*

Kochani Autorzy, Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele magazynu „Culture Avenue”, życzę Wam wspaniałych Świąt Bożego Narodzenia i pięknego Nowego Roku, niech się spełnią marzenia, zrealizują projekty, a w przyszłym roku…. niech się darzy!

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor